№ 32. Warszawa, dnia 9 Sierpnia (28 Lipca) 1884 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Po uzupełnieniu i dobraniu zeszytów posiadamy jeszcze do sprzedania kilkanaście egzemplarzy dzieła Brandesa (bez wyczerpanego tomu II) po cenie: Tom I rs 1 k. 50, Tom III rs. 1 k. 50, Tom IV rs. 2. Nadmieniamy, że każdy tom stanowi odrębną całość.

PODWÓJNA BUCHALTERYA.

Czytelnicy nasi może pamiętają z krótkiej wzmianki srodze humorystyczną korespondencyę *Przeglądu powszechnego* (krakowskiego) z Warszawy, jej niestworzone banialuki, jej dziwaczne sądy, zaliczające np. *Gazetę warszawską* i *Kłosy* do pism postępowych, jej informacye o wydawnictwach, które nie istnieją, o ludziach, którzy już nie żyją. Śród wszakże tej zabawnej maligny świeciła jedna myśl jasna, którą organ krakowski, mówiąc w zeszycie lipcowym o warszawskiej prasie konserwatywnej, czyli „uczciwej" — tak wyraża: „jest (w niej) pewna jednostronność (właściwie dwustronność) i niekonsekwencya poglądów, jest brak stałych zasad, objawiających się np. w gorącem popieraniu interesów kościelnych i uczuć zachowawczych w Niemczech dajmy na to, i równoczesnem apoteozowaniu a przynajmniej tłomaczeniu radykalnych wybryków we Francyi i Włoszech. W ten sposób w jednym numerze dziennika znaleźć można, a raczej znajduje się *zawsze* codzień hymn pochwalny na cześć Windhorsta i okrzyki oburzenia na niegodnych klerykałów francuskich; słowa uwielbienia dla Garibaldiego i dla Piusa IX; entuzyastyczną biografię Gambetty i surowe potępienie zachciańek swojskich jego naśladowców. Radykalizm w teoryi, za granicą; zachowawcze zasady, religijne wierzenia w praktyce, w miejscowych stosunkach — w ten sposób da się streścić myśl przewodnia *lepszych* (!), *uczciwych* (!) dzienników tutejszych."

Ostatnie wyrazy są bardzo pięknym okazem mimowolnego humoru. Dziennik potępiający u siebie to, co wysławia za granicą, dziennik nieszczery, przynajmniej połową swego kierunku kłamiący, *Doppelgänger* — jak niemcy nazywają podobne fabrykaty — jest „lepszy" i „uczciwy." Ale autor trafił w sedno podwójnej buchalteryi naszego konserwatyzmu, który widocznie zaczyna dochodzić do świadomości swych obrotów. Charakterystyczną cechą naszych pism zachowawczych jest niekonsekwencya i obłuda. Niekonsekwencya pozwala urwać kawałek jakiejś nowej teoryi i przyłatać go do odmiennych starych wierzeń, uznawać jakąś zasadę w jednym wypadku, a przeczyć jej w drugim, zszywać cały ten pstrokaty łachman, który się nazywa „umiarkowaniem;" obłuda znowu tę dwulicowość, którą upomina powyżej przywiedziony ustęp. Nasi pobożni dziennikarze nie chodzą do kościoła, nie poszczą, nie spowiadają się, drwią w knajpach z księży, niektórzy mają po kilka żon, a równocześnie grzmią przeciw bezbożności, każdego księdza publicznie nazywają zacnym i rozumnym a zbawienie kraju widzą w modlitwach, postach i świętowaniu. Osłoniwszy się maską udanej dewocyi wobec stosunków miejscowych, przesyłają z pod tej maski uśmiechy i umizgi do najskrajniejszych radykałów za granicą, umieją całować Garibaldiego w ręce a Piusa IX, jako papieża polskiego, w nogi. Biskup Freppel jest dla nich fanatykiem, a ks. Nowodworski lub Matuszewski czcigodnym kapłanem, który rozlewa światło niezmąconej wiedzy. Gdy pismo postępowe w Warszawie ucieszy się znikaniem zakonów, pójdzie pod pręgierz za „wydzieranie narodowi tego, co jest najświętszem." Ale gdy rząd francuski zamknął klasztory, w naszym obozie zachowawczym zapanowała serdeczna radość. Gambetta był jego bożyszczem, a najskromniejszy liberał polski, nieolśniony wielkością proboszcza z Koziej Wólki — zdrajcą kraju.

Gdyby wodzeni za nos i okłamywani udaną prawomyślnością czytelnicy t. z. dzienników „lepszych i uczciwych" opukali serca i głowy swych redaktorów, przekonaliby się ze zdumieniem, ile tam kryje się gorzkiej drwiny z całej tej pobożnej blagi. A że to blaga, że to tylko wyzyskiwanie nałogów większości, dowodem choćby ten fakt, że znaczna część prawowiernych organów pozostaje w rękach żydowskich. Trudno przypuścić, ażeby wyznawca Starego Zakonu nieraz członek gminy izraelskiej pałał szczerą miłością do katolicyzmu i zbudowanych na nim przekonań społecznych. Ale szerzy go i broni, bo to dobry interes, tak samo, jak inny jego współwyznawca handluje obrazami świętych, medalikami i różańcami, bo to także dobry interes. Do ksiąg takiej obłudy musi się wkraść podwójna buchalterya przekonań; miłość dla liberałów zagranicznych jest platoniczną, czytelnika polskiego mało obchodzi — więc otwiera się uczuciom swobodne ujście; ale te same żywioły w kraju trzeba potępiać, znieważać, bo tego wymaga handel.

Praktykuje się to oddawna, ale nareszcie sami konsekwentniejsi zachowawcy spostrzegli, że taka robota nie jest ładną, że jest gorszącą i może zachwiać kredyt wekslów na bank klerykalizmu wystawionych. Zaczyna więc odzywać się łagodne napomnienie, lekki wyrzut sumienia, naciąganego jak skóra na różne kopyta. Ciche: *fe!* wyszeptał właśnie *Przegląd powszechny*, zapewne mocno zmartwiony, że podobnego zarzutu uczynić nie można

pismom „gorszym“ i „nieuczciwym.“ Te używają buchalteryi pojedynczej: co myślą i czują, to głoszą, a chwalą i potępiają to samo w kraju, co za granicą. I kto wie, czy ich szczerość, czy brak niekonsekwencyi i obłudy nie jest właśnie głównym kamieniem obrazy dla przeciwników. Trochę kłamstwa i hipokryzyi ze strony postępowców z pewnością zapewniłoby im małą arendę pola „zasług obywatelskich.“

DIDEROT.

Wspomnienie w stuletnią rocznicę jego śmierci.

Dnia 30 zeszłego miesiąca minęło lat sto od śmierci jednego z najznakomitszych pisarzy francuskich — Dyonizego Diderota. Gdy Paryż uroczystym obchodem uczcił jego pamięć, chcemy przypomnieć czytelnikom jego zasługi.

Gorączkowa i nadzwyczaj różnostronna działalność jego, oraz zabiegi około zabezpieczenia bytu rodzinie pomimo niezaprzeczonego geniuszu nie pozwoliły mu pozostawić ani jednego wyłącznie własnego, wielkiego dzieła, któreby się mogło trwale ostać w literaturze. Wielki jednakże i niesłychanie rozległy wpływ, jaki wywierał on na swych współczesnych, zapewnił mu nieśmiertelność i nakazuje go postawić tuż obok Rousseau'a, Voltaire'a i Montesquieu'go.

Głównym tytułem chwały jest dokonane pod jego przewodnictwem wielkie dzieło zbiorowe, w którem brali udział wszyscy najznakomitsi ówcześni pisarze francuscy i które doznało tak świetnego powodzenia, jakiem się jeszcze nigdy ani przedtem, ani później żadna książka tak droga i tak znacznych rozmiarów nie cieszyła. Mówimy o sławnej *Encyklopedyi nauk, sztuk i rzemiosł*.

Syn dość zamożnego nożownika, którego przodkowie już od lat przeszło dwustu uprawiali to rzemiosło, namówiony przez swych nauczycieli, jezuitów, do przywdziania sukni ich zakonu, w piętnastym roku życia opuścił rodzinne miasto Langre (w południowej Szampanii), by w celu przygotowania się wstąpić do kolegium *d'Harcourt* w Paryżu. W miarę wszakże posuwania się naprzód w rozwoju umysłowym coraz bardziej tracił przekonanie do stanu duchownego. Po skończeniu kolegium z woli ojca wstąpił na praktykę prawną prokuratora Paryża. Gdy i to zajęcie nie zdołało go pociągnąć do siebie i wszystkie wolne od obowiązkowej pracy chwile poświęcał studyom nad językiem łacińskim i greckim, oraz nauce angielskiego, włoskiego i nadewszystko matematyki, uwiadomiony o tem ojciec zażądał nieodwołalnie, by sobie obrał jakikolwiek określony zawód, lub wrócił do rodzicielskiego domu. Diderot, dla którego wszystkie nauki jednaki miały powab, nie mógł się zdecydować na żaden stanowczy wybór i, pozbawiony za to pomocy materyalnej od ojca, zaczął sam myśleć o sobie. Nie mając żadnego sposobu do życia oprócz nauki, utrzymywał się z lekcyj matematyki i wśród głodu i chłodu nieraz prowadził dalej swoje ulubione studya, pracując już to nad językami, już nad matematyką, literaturą starożytną, teologią, medycyną. Tak przeżył lat dziesięć.

Ożeniwszy się w trzydziestym roku życia z piękną, lecz ubogą dziewczyną, córką właścicielki jakiegoś drobnego handlu, dla powiększenia swych dochodów postanowił pomagać sobie tłomaczeniem dzieł angielskich i w r. 1743 przełożył *Historyę grecyi* Stanyana, a następnie *Słownik medyczny* Jamesa.

Otrzymawszy w r. 1745 zamówienie na przekład rozprawy Shaftesbury'ego o cnocie i zasłudze, odstąpił od oryginału, przerobił go na swój sposób i opatrzył licznemi dopiskami i uwagami własnemi. W dziele tem jest jeszcze Diderot potulnym barankiem kościelnego stada i stara się nawet bronić Shaftesbury'ego od zarzutu odszczepieństwa. Powstaje on tu już wprawdzie przeciw bigoteryi, nietolerancyi i fanatyzmowi, lecz gorszy się nawet czystym deizmem i woła: „niema cnoty bez religii!“

Nabrawszy zaufania we własne siły porzuca tłomaczenia i wkrótkim przeciągu czasu wydaje szereg rozpraw filozoficznych i matematycznych: *Pensées philosophiques*, 1746 r., *La promenade du sceptique ou les allées*, 1747*), *De la suffisance de la religion naturelle* i *Mémoires sur différents sujets des mathématiques*, 1748, *Lettre sur les aveugles*, *Lettre sur les sourds et muets*, 1751. Żywy i jasny umysł Diderota nie pozwolił długo prowadzić się na pasku religijnych wierzeń, to też we wszystkich tych pracach przedstawia się nam on już jako czysty deista z silną domieszką sceptycyzmu. W dzisiejszym czytelniku największej zajęcia może obudzić pierwsza z tych prac. Jest to szereg niewielkich rozmiarem rozumowań, pozornie rozrzuconych bez związku, w rzeczy samej jednakże związanych pomiędzy sobą jednością myśli przewodniej. Rozpadają się one na dwie części. W pierwszej występuje w nich Diderot przeciwko ponurej nauce jansenizmu o potrzebie wyrzeczenia się przyjemności życia i tłumienia w sobie wszelkich namiętności; w drugiej broni swobody myślenia i w podjazdowych nadzwyczaj zręcznych wycieczkach stara się ośmieszyć i zdyskredytować ślepą wiarę, fanatyzm i bigoteryę. W późniejszych wydaniach *Myśli filozoficznych* dodał jeszcze do nich Diderot takąż samą liczbę (62) króciutkich, lecz nierzadko głębokich i ziście francuską werwą napisanych zdań, w których z nieporównanym dowcipem sonduje otchłanie dogmatów i podań i wyławia z nich prawdziwe perły humoru. Dziełko to zaraz po ukazaniu się spalone zostało ręką kata, lecz wydrukowane powtórnie tem świetniejszego, naturalnie, doznało powodzenia.

List o ślepych pociągnął już za sobą uwięzienie samego autora w Vincennes, gdzie go trzymano dni 100. Dzieło to jest rozprawą o fizyologii zmysłów, a w szczególności wzroku, lecz główny nacisk kładzie w niem autor na badanie wpływu, jakie wrażenia wzrokowe, oraz ich brak, wywierają na nasze pojęcia umysłowe i moralne, a robi w tym przedmiocie wiele trafnych i naówczas zupełnie nowych spostrzeżeń w duchu sensualizmu. *List o głu-*

*) Rok ten oznacza datę napisania dziełka, gdyż zostało ono zabrane Diderotowi w rękopisie przez policyę i wydane było w druku dopiero w r. 1831. To samo stosuje się do daty następnej zaraz rozprawy wydrukowanej w r. 1770.

---

6)

KARDYNAŁ

przez

Zofię Junghans.

Wkrótce potem dwaj mężczyźni skromnie, lecz przyzwoicie ubrani, na dzielnych koniach przejechali po wąskiej Via dei Seragli, lecz skoro tylko minęli Porta Romana, tęgim kłusem puścili silne rumaki.

O zapadającym zmroku jechali znowu tą samą drogą; niewięcej nad pięć godzin byli za miastem.

Wróciwszy do pałacu, po krótkim wypoczynku w swoich pokojach, kardynał udał się do odległej izby, gdzie zostawała Gelsomina, przez te korytarze, którymi o jakie dziesięć minut później Piero prowadził Masa z towarzyszami. Jak najciszej otworzył drzwi i stojąc w ciemnej sionce mógł widzieć wszystko, co się działo w sąsiednim pokoju.

Gelsomina siedziała znowu na łóżku. Na odgłos lekkiego szmeru, którego wchodzący powstrzymać nie zdołał, dwoje jej suchych oczu wpiło się w ciemną głębię sieni: nasłuchiwała całą swoją istotą, lecz ponieważ nic więcej nie usłyszała i nic dojrzeć nie mogła, uspokoiła się.

Riario, niewidzialny, przypatrywał jej się tymczasem z dziwnym wyrazem twarzy; znać było, że się przygląda z jakiemś rzewnem w sercu uczuciem.

Dziewczę pasmem włosów owinęło sobie szyję, i związawszy węzeł, lewą ręką go zaciskało.

Prawdę mówiąc, Gelsomina nie znalazłszy w całym pokoju żadnego ostrego narzędzia, ani przedmiotu, którymby go zastąpić mogła, bo nawet do szyby w oknach dosięgnąć nie była w stanie, próbowała udusić się swojemi włosami, aby uniknąć tego, co jej groziło, jak sądziła; ale jej zabrakło siły i zręczności, a może odwagi przy tem samobójczem zajęciu.

Siedziała więc nieprzytomna prawie; zdawało jej się, że ma wypalone serce i zamęt w głowie. Zostało jej tylko uczucie nieopisanej tęsknoty do Masa. Ale go pragnęła nie jak kochanka... z nadzieją życia zastygła w niej miłość: tęskniła za silnym człowiekiem, na którego piersi mogłaby oprzeć głowę a on by jej pewną ręką, lekko i prawie bez bólu przebił serce sztyletem i w taki sposób ją oswobodził. Myślała bowiem jedynie o śmierci a obawiała się tylko zagrażających jej męczarni. Nagły cios, który w nią ugodził pozbawił ją nawet cienia nadziei.

Lewą ręką zwolniła węzeł z włosów owiniętych w około szyi i odetchnęła głęboko. Riario patrzył na nią zdumiony. Następnie wyjęła rękę i zupełnie rozpuściła włosy, ale po to jedynie, by je skręcić mocniej i uwić z nich rodzaj sznura, który na nowo parę razy w około cienkiej owinęła szyi. Jakby igrając, zaciskała sznur coraz mocniej, potem zdawało się, że go rozluźnić pragnie. Przytem końce dwóch pasm włosów splątały się z sobą a palce tą pracą zajęte zacisnęły się kurczowo. Człowieka, który się temu niewidzialny przypatrywał, ogarnęła nagle straszliwa świadomość. W jednej chwili znalazł się przy niej... oczy jej, strachem śmiertelnym już przejęte, padły na niego, i z niesłychaną, bohaterską odwagą, palce, którymi zaledwie władać już była wstanie, zacisnęła jeszcze mocniej w zabójcze sploty, nie pozostawiając mu żadnego sposobu do ratunku.

Jedna, druga ubiegła chwila w śmiertelnej męce dla człowieka, ciężką na duszy mającego winę, aż zimny pot kroplami dużemi wystąpił mu na czoło. Nic nie miał pod ręką dla rozcięcia straszliwego węża; wiedział, że w pokoju nie znajdzie żadnego odpowiedniego narzędzia ku temu. Czyż jego zbrodnicza troskliwość nie usunęła z pod jej ręki wszystkiego, co by tu do ratunku nieszczęśliwej posłużyć mogło!

Jeszcze jedno okamgnienie, potem wzrok jego przerażony padł na wysoką, ciemną postać, ukazującą się we drzwiach. Z dziwnym okrzykiem, w którym brzmiało najwyższe przerażenie i razem ulga, rzucił się Riario ku wchodzącemu, którego zjawienie się w tem miejscu powinno było wydać mu się zagadkowem, cudownem prawie, i wyrwał mu długi sztylet z za pasa. Starannie i zręcznie przeciął ostrem żelazem najniebezpieczniejszy węzeł tuż u szyi ofiary, a inne zwoje rozplątał ostrożnie; nerwy miał wstrząśnione do najwyższego stopnia; drżał cały, gdy pasmo włosów, jak żywy wąż, rozwijało się w około białej szyi dziewczęcia.

chych i niemych przedstawia niejako dalszy ciąg *Listu o ślepych*, lecz zajmuje się głuchoniemymi tylko ubocznie, a w gruncie rzeczy jest estetyczną rozprawą o znaczeniu mimiki i muzykalnej piękności poezyi.

Wymienione przez nas prace wyrobiły Diderotowi taką powagę, iż mógł on już stanąć na czele redakcyi tego wielkiego dzieła zbiorowego, o którem wspominaliśmy na początku artykułu.

Jeszcze w roku 1746 księgarz Le Breton, powziąwszy myśl przyswojenia literaturze francuskiej opublikowanej w r. 1728 w Dublinie *Cyklopedyi* Chambersa, wyrobił sobie przywilej na jej wydanie, lecz poróżniwszy się z tłomaczami, zamiaru do skutku nie doprowadził. Nie chcąc jednak tracić bezpożytecznie otrzymanego przywileju, zwrócił się do Diderota z propozycyą, by ten wprowadził w życie jego myśl. Diderot ofertę przyjął, lecz ją zmienił i, zaniechawszy zupełnie wspomnianą *Cyklopedyę*, postanowił stworzyć dzieło zupełnie nowe. Przybrawszy do pomocy w redakcyi znakomitego matematyka, d'Alemberta, nakreślił plan nadzwyczaj rozległy, a zapewniwszy sobie współpracownictwo wszystkich najznakomitszych uczonych i pisarzy francuskich, wziął się z zapałem do pracy.

Dzieła tego nie należy stawiać na równi z dzisiejszemi tego rodzaju wydawnictwami. Nie była to bynajmniej spokojna i niewinna książka informacyjna, lecz raczej bojowa maszyna, mająca na celu zdruzgotanie muru panujących w ówczesnem społeczeństwie przesądów i uprzedzeń i walkę na śmierć z ciemnotą, nietolerancyą, fanatyzmem i despotyzmem. Współpracownicy jej nie poprzestawali na drobnych objaśniających artykulikach, na popularyzowaniu dokonanych zdobyczy naukowych, lecz w kwestyach ważniejszych pisali całe rozprawy, dochodzące do wielkości oddzielnych książek, w których nierzadko rzucali myśli nowe i oryginalne niemałej doniosłości naukowej.

W r. 1751 wyszedł tom pierwszy dzieła, a na początku 1752-go — drugi. Publikacyi nadano tytuł: *Encyclopédie ou Dictionnaire raisonné des Sciences, des Arts et des Métiers, par une Société de Gens de Lettres, mis en Ordre et publié par Mr. Diderot, et quant à la Partie mathématique par Mr. d'Alembert.* Zaraz już pierwsze te dwa tomy sprowadziły na głowy autorów całą burzę gromów oburzenia i nienawiści ze strony nieprzyjaciół światła i wolności. Najprzód zaprotestowała Sorbonna. Arcybiskup paryski wydał potępiający list pasterski, lecz sprawił tylko to, że droga i znana tylko w szczupłem kole literatów i uczonych książka zyskała nadzwyczaj na poczytności i poczęła się cieszyć niesłychanem nigdy dotąd powodzeniem, obiegając w tysiącach egzemplarzy wśród wszystkich klas społeczeństwa. Siódmego lutego 1752 r. wyszedł urzędowy zakaz sprzedaży obu wydanych tomów, lecz dalszego ciągu dzieła nie powstrzymano.

Tomy III, IV, V i VI nie doznały żadnych przeszkód dzięki niesnaskom pomiędzy rządem i duchowieństwem, oraz większej ostrożności wydawców.

Tomy IV do VI nawet nosiły napis: *Publié avec approbation et privilège du Roi.* Gdy wszakże w roku 1757 ukazał się tom VII, w którym z większą już niż dotychczas śmiałością poruszono kilka nadzwyczaj drażliwych kwestyj, prześladowania wybuchły na nowo i ostatecznie wydane zostało postanowienie (*Arrêt du Conseil d'État*), znoszące wzmiankowany wyżej przywilej z roku 1746 i zakazujące sprzedaży, oraz dalszego prowadzenia wydawnictwa.

Zniechęcony przeciwnościami d'Alembert, który radby był prowadzić rzecz łagodniej i nie podzielał przytem materyalistycznych poglądów Diderota, usunął się od redakcyi. Wkrótce potem zerwał również z *Encyklopedyą* w zwykły sobie ostentacyjny sposób—Rousseau.

Wszystkie te niepowodzenia jednak nie zdołały ostudzić zapału i złamać żelaznej wytrwałości Diderota. Ciągnął on dalej wydawnictwo sam jeden i doprowadził je do końca w r. 1766, w którym wypuścił jednorazowo ostatnie dziesięć tomów. Całość obejmowała 28 wielkich tomów *in folio*. Później jeszcze dodano kilkotomowy dodatek i spis rzeczy bez udziału Diderota, oraz opracowane przez niego 4 tomy tablic i rysunków.

Co się tyczy literackiego współpracownictwa Diderota w *Encyklopedyi*, to przedewszystkiem opracował on w niej cały dział rzemiosł i sztuk technicznych, do czego musiał sam robić oryginalne i źródłowe badania, zarówno praktyczne, jak naukowe, gdyż nie miał zupełnie w tym względzie poprzedników. Oprócz tego napisał obszerny prospekt do *Encyklopedyi* i dostarczył do niej mnóstwa artykułów, już to drobniejszych, już dochodzących rozmiaru obszernych rozpraw z dziedziny gramatyki, retoryki, poetyki, moralności, archeologii, literatury starożytnej, psychologii, estetyki, metafizyki i logiki. Nadto, począwszy od trzeciego tomu, z pod jego też pióra wyszły wszystkie artykuły, odnoszące się do historyi filozofii.

W końcu wydawania *Encyklopedyi* doszedł on już w konsekwentnym rozwoju swej myśli do ostatniego krańca, do bezwzględnego materyalizmu. Pierwszem dziełem znamionującem ten nowy kierunek były *Pensées sur l'interprétation de la nature*, wydane 1754. Polemizuje w nich jeszcze z hypotezą Maupertuis'ego o atomach obdarzonych czuciem, lecz z pod osłony pozornych przeciw niej zarzutów przegląda już wielka do niej sympatya autora. W następnych swych rozprawach filozoficznych, przekonany jeszcze bardziej przez dzieło Robineta *O naturze* (1761), przyjął już tę hypotezę w zupełności i dalej ją rozwinął. Z dzieł tych najważniejsze jest *Rêve de d'Alembert*, napisane w r. 1769, lecz wydane dopiero w 1831.

Niemały i niemniej pożyteczny wpływ wywierał Diderot na swych współczesnych jako krytyk. W sławnych swych ocenach wystaw malarskich (*Salons*) występował przeciwko panującej w sztuce nienaturalności i szkolarstwu, radząc malarzom szukać wzorów piękności bezpośrednio w naturze. Równie płodną była jego krytyka ówczesnej poezyi dramatycznej. Walczył w niej zręcznie przeciw regułom pseudo-klasycyzmu i szukał nawet dla dramatu nowych dróg, zalecając utworzenie nowego rodzaju, który nazwał *genre sérieux*. W tym duchu napisał nawet sam kilka dramatów, z których jeden *Père de famille* doznawał przez pewien czas wielkiego powodzenia na scenie nietylko we Francyi, lecz również we Włoszech i nadewszystko w Niemczech, gdzie Lessing przepowiadał, iż utrzyma się trwa-

---

Nie było jeszcze za późno. Biedna istota nieprzytomna prawie spoczywała na łożu; oczy jej parę razy otwierały się i zamykały mechanicznie, nic nie widząc do koła, lecz zdławiony oddech coraz się równiejszym stawał; zwolna wracała do przytomności.

Obaj mężczyźni przypatrywali się jej, lecz z jak odmiennem uczuciem! Nakoniec kardynał zwrócił się ku swemu przeciwnikowi, gdyż nowo przybyłego poznał od razu w tym charakterze. Riario był wzruszony, pełen uniesienia i nie starał się bynajmniej ukrywać swych wrażeń.

Twarz Tommasa wyrażała lodowaty chłód. Zrozumiał od razu śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakiem Gelsomina była przed chwilą, ale go to nie wzruszało bynajmniej.

Jej życie nie miało dla niego głównej ceny w tej chwili.

— Domyślam się, co was tu sprowadza, Tommaso — odezwał się nakoniec kardynał, mniej pewnym niż zwykle głosem. Lecz w jakimkolwiek bądź przyszliście celu, błogosławionem jest wasze przybycie.

— Innego jestem zdania, jaśnie oświecony panie — rzekł Lupi chłodno. Powstrzymaliście tę nieszczęśliwą w chwili, gdy chciała się pozbawić życia wstydu i grzechu — własną rękę, biedne dziecię — pomimo woli głos jego zmiękł i zwilgotniały oczy, skoro jego spojrzenie padło na zamknięte powieki, na prześliczną twarzyczkę, którą za straconą dla siebie uważał.

— Zleście uczynili. Bo dla was, Eminencyo, zarówno jak dla mnie, po raz ostatni zaszło dziś słońce. Ponieważ jednak tej, którą moją zwałem, zostawiać tu nie myślę, muszę ją wyprawić naprzód.

Kardynał pozwolił mu spokojnie mówić, wpatrując się tylko uważnie w jego rysy. Przytem w około ust jego coś drgało, a w końcu dobry humor odbił się w wyrazie jego twarzy.

— Jak też to młodość — rzekł wstrząsając głową, gdy Lupi zamilkł — skorą jest do śmierci. Gdy dożyjecie mojego wieku, Tommaso, nie będziecie tak pośpieszni w wyprawianiu innych na tamten świat, a i własnem życiem tak się wam szafować nie zechce.

Tommaso chciał odpowiedzieć wybuchem gwałtownym, powstrzymał się jednak, wzruszył tylko ramionami z wyrazem najwyższej pogardy dla przeciwnika. Sięgnął ręką do miecza, który miał u boku.

— Nie macie naturalnie przy sobie żadnej broni — rzekł, nie wątpię jednak, że nią władać umiecie. Za drzwiami czekają moi dwaj przyjaciele, mogą nam usłużyć dobrą szpadą. Służę wam, panie!

Wzrok jego padł na Gelsominę, która niezemdlona, lecz z dziwnie obłąkanemi oczami leżała na poduszkach, a w umyśle jego zrodziło się okropne podejrzenie, i krew włoska zawrzała mu w żyłach.

— Idźże, łotrze niegodny! na imię boskie, za długo już żyjesz na ziemi!

— Tak, chodźcie!

Jeśli kiedy kardynał Riario umiał przybrać wyraz godności i powagi, nakazujący poszanowanie, to go miał w tej chwili.

— Chodźcie, nim w szalonym obłędzie i ślepej namiętności wymówicie więcej jeszcze wyrazów, które szlachcic z trudnością zapomnieć może.

I ze spokojem nieważającym bynajmniej na groźby, kardynał zbliżył się raz jeszcze do Gelsominy. Spojrzał na nią badawczym wzrokiem, jak lekarz, położył jej nawet rękę na skronie, co jednak, ku własnemu zdumieniu Masa, nie wzbudziło w nim nowego napadu zazdrości. Potem z zadowoleniem skinął głową, następnie, jak pan domu, uprzejmym znakiem ręki zaprosił swego surowego gościa, aby szedł naprzód do pobocznego pokoju.

Nie słychać tam było szczęku broni, chociaż w początku rozmowy gniewny głos Masa odezwał się z wyrazem nienawiści. Ale następnie coraz większa panowała cisza i już tylko kardynał mówił długo, bez przerwy. Obaj mężczyźni weszli nareszcie razem do Gelsominy pokoju.

— I tak, sprawdziłem wszystko, — skończył kardynał — przekonałem się, że mi prawdę powiedziano, a sądzę, że jeśli ja wierzę i znajduję się tem zadowolnionym — tu uśmiech wesoły, jak za najlepszych dni młodości, zaigrał na jego ustach, nawet go dawna ogarnęła pustota — to i ty, mój synu, poprzestać na tem możesz.

Tommaso nie odpowiedział; zbliżył się do łoża, na którem Gelsomina dotąd leżała; wzrok jego pełen był tkliwej litości. Wstydził się wobec tego człowieka okazać całą potęgę swej miłości zbudzonej na nowo: lecz gdy kardynał, niepojmujący tej delikatności uczuć, stał z wyrazem dobrotli-

le na deskach teatralnych. Przepowiednia jednak zawiodła, gdyż w rzeczywistości artystyczna wartość tego dramatu była bardzo nie wielka.

Jako poeta wreszcie ma Diderot wogóle daleko mniejsze znaczenie, niż jako filozof i krytyk. W romansach swych i opowiadaniach złożył wprawdzie dowody wielkiego talentu, lecz rozstrzelona w najrozmaitszych kierunkach działalność jego nie pozostawiła mu dosyć czasu na wypracowanie większego i artystycznie skończonego dzieła, któreby mu samo przez się nieśmiertelność zapewnić mogło. Goethe i Hegel uważali wprawdzie za takie dzieło romans *Le Neveu de Rameau*, lecz późniejsi krytycy nie przyznają mu tak wielkiej wartości, podług mnie z zupełną słusznością.

Za najlepszy z romansów Diderota uważany jest dziś *La Religieuse*. Wiele też mają przymiotów zręczne, lekkie i pełne nieporównanego wdzięku drobne opowiadania Diderota, nażwane przez niego *Petits papiers*. Formą przypominają one dzisiejsze nowele.

Jako człowiek Diderot jest najsympatyczniejszym ze wszystkich współczesnych mu pisarzy francuskich. Jego nieposzlakowana uczciwość i sumienność w wywiązywaniu się z zobowiązań, zjednywały mu ogólny szacunek; jego dobroć, dobroczynność i przyjacielskość budziły dla niego gorącą sympatyę w sercach wszystkich tych ludzi, co mieli go sposobność bliżej poznać. Gdy ojciec odmówił swej pomocy na pobyt w Paryżu, służąca, która mu przynosiła tajemnie pieniądze od matki, dokładała, co mogła, nic nie mówiąc o tem, ze swoich szczupłych funduszów, by pomódz w biedzie swemu ukochanemu paniczowi. Proszącym go o radę lub pomoc materyalną nie odmawiał Diderot nigdy, dzieląc się z potrzebującymi ostatnim swym groszem. Pomimo ogromu pracy, jakim zawsze był obarczony, poprawiał on swoim przyjaciołom bez żadnej pretensyi rękopisy, dawał im wskazówki, wpisywał do ich dzieł całe rozdziały, a nawet całe tomy, jak to miało np. miejsce z *Historyą handlu indyjskiego* Raynala. Jakkolwiek w licznem towarzystwie osób obcych czuł się zazwyczaj niedobrze i był małomówny, w szczuplejszem za to kółku dobrych znajomych i przyjaciół odznaczał się niezrównaną, porywającą wymową. Cześć jego pamięci!

W. Wścieklica.

Z GALICYI.

Lwów, 2 sierpnia.

O centralizacyi zamiast decentralizacyi. — Orędzie p. Czedika. — „Duch ożywiający“ sfery wiedeńskie. — Pomoc rządu dla Galicyi.—„Praestid'gitator“ p. Siedlecki i panna Flora, „medium.“—Prokurator przed sądem.—Janus dwulicowy, czyli sprawiedliwość lwowska.—Zwyczaje bukowińskie. — *Habemus papam!* czyli św. Jan z Dukli patronem *Prawdy* —Cuda.—*Szczutek* o mistykach.

Jeżeli nie chcę złamać danego w jednym z poprzednich listów przyrzeczenia, nie powinienem rozprawiać więcej o *decentralizacyi* kolejowej. Termin ten wszedł już zresztą stanowczo do słownika historycznego, odstąpić go też możemy bez wahania do wyłącznego użytku przyszłych dziejopisów, którzy będą zastanawiali się nad nadziejami i zawodami rakusko-polskich polityków. Powiem wam coś natomiast o... *centralizacyi* dróg żelaznych, co z tem większą przyjdzie mi łatwością, ile że będę obracał się na zupełnie realnym gruncie.

Na czele zarządu kolei skarbowych postawiono, jak wiecie, dyrekcyę generalną e siedzibą w Wiedniu, podległą bezpośrednio ministeryum handlu. Nowe to ciało składa się z ośmnastu członków. Kiedy ogłoszono statut organizacyjny państwowych dróg żelaznych i kraj ujrzał się najfatalniej w nadziejach swoich zawiedziany, wyszukaliśmy sobie coraz nową pociechę—nową nadzieję. Taka-bo już to nasza natura galicyjska, że bez nadziei żyć jej niepodobna, czemu się zresztą i nie dziwcie zbytecznie, boć przy niedostatku chleba myśleć się zawsze zwykło o niebieskich migdałach. Były nimi tym razem co najmniej cztery posady w dyrekcyi generalnej. Parafianie nasi mówili: nie chcą nam dać osobnego proboszcza, ale będziemy mieli przynajmniej wikarych swoich przy parafii w Odrzytykach, co będą za nasze intencye msze odprawiali i instancyę wnosili za nami do Boga...

Ale nie z konsystorzem austryackim to sprawa! Zbawienie dusz galicyjskich obchodzi go akurat tyle, co wilka zasady etyki albo nauka o harmonii. Proboszcza nie dali i wikarych nie przysłali! Pomiędzy ośmnastu urzędnikami dyrekcyi generalnej znajduje się zaledwie jeden polak i to na przedostatniej, czy nawet ostatniej posadzie. Wybrańcem tym jest baron Gostkowski. Zamianowano go szefem biura prezydyalnego, czyli innemi słowy — jakby to właściwiej nazwać — oberkancelistą... Jest to urząd, niedający żadnego wpływu na sprawy kolejowe, których losy złożono w rękach kacyków wyższych. Z tych najwyższy takie oto wydał tymi dniami orędzie do podwładnego sobie żywego materyału kolejowego:

„Połączenie to (tj. centralizacya kolei) dowodzi, że Jego Cesarska Mość i Wysoki Rząd pragną, aby jednolitość zarządu była i na zewnątrz zaznaczoną. Wzywa przeto wszystkich funkcyonaryuszów, ażeby zawsze pamiętali o tem. Prócz tego czuję się obowiązanym zaznaczyć stanowczo, że w tym względzie będę surowo przestrzegał sumiennego wykonania naszych przepisów i *potrafię powstrzymać* (?) *przekroczenia.* Musimy wszyscy o tem pamiętać, że *mamy prowadzić nie ogólną* (?) *politykę*, ale politykę ruchu kolejowego. Znajdziecie mnie zawsze *ożywionego tym duchem*—spodziewam się też, że i wy przejmiecie się tąż samą myślą.“

Dano: 1 sierpnia r. 1884, lata szóstego ery hr. Taaffego, rządów czesko-polskich w Austryi piątego. Podpisnno: Czedik m. p.

Rozpisał się ten pan znacznie jeszcze szerzej na temat „łączności“ i „jednolitości,“ o czem zresztą niepotrzebnie nas poucza, bo wszyscy wiemy bardzo dobrze, jakim „duchem są ożywieni“ on i wysoki rząd w sprawach, dotyczących naszej prowincyi. Ustęp powyższy pierwszego okólnika dyrekcyi generalnej przytoczyłem też nie dla zaznajomienia was z intencyami Wiednia, ile raczej dla niebywałego tonu tego pisma, które nietylko zapowiada „powstrzymywanie przekroczeń“ (*sic!*), ale uczy także polityki — nie polityki „ogólnej,“ tj. zapewne narodowej, ale — kolejowej. Miejcież się tedy na baczności wszyscy panowie kolej-

---

wego współczucia; Maso podniósł nareszcie ukochaną, utulił w objęciu i do serca przycisnął.

Trudno było jej zbłąkany umysł oswoić na nowo z przekonaniem o powrocie do szczęścia; nie mogła uwierzyć, że jest rzeczywiście ocaloną i wolną, aż ją Tommaso poprosił, żeby się przygotowała, bo ją stąd zabierze.

— Dokąd? do domu? na Cerco degli Albizzi? do babki? — zapytała głosem drżącym z radości i trwogi.

— Tak, tam jeszcze na krótko — rzekł cichym szeptem pochylony ku niej — nim cię, jako żonę, do mego domu wprowadzę.

Sam kardynał drzwi im otworzył. Wesołość znowu ukazała się na jego ustach, skoro spostrzegł dwóch ludzi, a z nimi swego zaufanego Piera, w położeniu nie zupełnie właściwem i odpowiedniem. Z nadzwyczajną grzecznością, zakrawającą na ironię, skłonił się młodym ludziom i poprosił z uprzejmością wielką, aby oswobodzili z więzów jego sługę, który całemu towarzystwu wskaże drogę do innego wyjścia z pałacu, ponieważ prawdopodobnie trudzić się do głównej bramy nie zechcą.

Powiadają, że jego eminencya uśmiał się serdecznie, dowiedziawszy się, w jaki sposób niegrzeczni goście owego wieczora obeszli się z jego służbą: i wydał rozkaz, aby za niedbalstwo jakiego się dopuścili jego ludzie, wszyscy spędzili noc w takim stanie, w jakim ich znaleziono. Lecz że kardynał dobrym był panem, spodziewać się należy, że rozkaz ten odwołał.

* * *

Duchowna władza uwolniła Gelsominę od wszelkiej odpowiedzialności. W skutek gorącej prośby Tommasa, któremu Riario okazywał stale przychylność wielką, zgodził się on, aby młoda dziewczyna, a wkrótce żona artysty, nie wiedziała nic o dziwnem odkryciu, które wpłynęło na zupełną zmianę jej losu. Gelsomina została w tem przekonaniu, że jej bohaterskie usiłowanie odebrania sobie życia, dla uwolnienia się od niesławy, sprawiło na kardynale takie wrażenie, że odtąd czuł dla niej tylko szacunek i prawdziwie ojcowską miłość, której tyle dawał jej dowodów.

Szczodrobliwość kardynała dla młodej pary nie miała granic, a mąż Gelsominy z niemałą trudnością powstrzymywać ją musiał.

Riario nie chciał słuchać delikatnego wymawiania się artysty, śmiał się ze skrupułów, a gdy Maso bronił się na seryo, przypominał mu, jak wiele zawinił względem rodziny Benincasa. Jakżeby z resztą Riario miał się zapatrywać na to inaczej, lub uważać to za rzecz niesprawiedliwą, i nie widzieć w tem uczucia zupełnie naturalnego, że pragnął udzielić Gelsominie cząstki bogactw swoich, w owym czasie, gdy papieże otwarcie synów swoich i córki obdarzali księstwami.

Ponieważ zgodnie z życzeniem Masa nie uchylono zasłony przeszłości, nie mogła więc Gelsomina poznać swej matki, która tak wcześnie zerwała związek, łączący ją z dziecięciem.

— Nic na tem nie straci — rzekł pofunie Riario do artysty. Dobre to stworzenie, ale drażliwa dusza; ograniczona, ponura i przesądna; klasztor najwłaściwszem jest dla niej schronieniem. Jest jej tam bardzo dobrze, a ma sobie za wielką zasługę, że modlitwę swoją ofiaruje za nas grzeszników. Córką nie zajmowała się nigdy.

Babka żyła jeszcze długo i szczęśliwie w pięknym domu, który Maso wybudował dla swej rodziny i wspaniale ozdobił okazami swej sztuki. Widzieć go jeszcze można do dnia dzisiejszego na Via Guelfa; żelazne na nim ozdoby, posągi po obu stronach wejścia, trzymające przepyszne świeczniki, gdyż Maso budował jak pan możny, cudownie piękna brama, arcydzieło z żelaza odlane, do naszych czasów służą za wzór studyów artystom przybywającym z północy. Maso pracował lat wiele, z niestrudzoną pilnością, a w jego ojczystem mieście i wielu innych muzeach włoskich, pozostały jego artystyczne prace ku zadowolnieniu przyszłych pokoleń. Ozdobą jednego z takich zbiorów we Florencyi jest srebrne naczynie wypukło rzeźbione, o którym największy z ówczesnych znawców sztuki, kardynał Feo Riario miał powiedzieć, że w tem dziele artysta przeszedł samego siebie.

---

nicy i nie prowadźcie polityki na własną rękę, jeżeli miłe wam posady wasze dotychczasowe i awansować chcecie na wyższe!.. Na cóżby się to zresztą zdało, skoro p. Czedik potrafi nawet „powstrzymać przekroczenie?...“

Równocześnie z nominacyą członków dyrekcyi generalnej doniesiono nam z Wiednia, w jaki sposób postanowił rząd dopomódz Galicyi po klęsce ostatniej powodzi. Zdecydowano się wreszcie na postępowanie mniej komiczne, ale znowu nie takie, jakiego się po tyrolskich antecedencyach najsłuszniej spodziewano. Do onych sławnych 3000 złr., udzielonych w pierwszej chwili i późniejszych, mniej więcej dodanych ze złości 100,000, uchwalone jeszcze 697,000 złr. Nie myślcie jednak, żeby to była darowizna. Alboż nie dosyć łaski, że nam pożyczą tak wielkiej sumy? Co prawda, to i bez pomocy rządu kraj potrafiłby zaciągnąć pożyczkę, większą nawet, niż ten niecały milion z poręki p. Taaffego, ale... efektu nie byłoby takiego.

Tyle z Wiednia. Co do Lwowa, to ten nastręcza nam niemało rozrywek. Nasamprzód zjechał do nas sławny „praestidigitator,“ p. Siedlecki. Następnie... O, panno Floro, „warszawianko,“ miałżebym nie wspomnieć o tobie? Wierzajcie mi, najtęższe to „medium,“ jakie kiedykolwiek oglądałem w życiu. Szczęśliwy, ale i biedny zarazem ten p. Siedlecki! Jadę dalej. W sam raz, na ochłodę kanikuły i ostygnięcie bezgranicznej wiary w sprawiedliwość ludzką, urządzono nam przeszło tygodniowe wzruszenie: sąd na stróża sprawiedliwości. Pyszna to rzecz — prokurator państwa przed trybunałem! Na imię mu Mehoffer. Z zawodu bronił on szerszej ojczyzny naszej na jej wschodnich kresach, hen, w Czerniowcach, gdzie kończy się Pół-Azya, t. j. Galicya, a rozpoczyna znowu Europa — tak przynajmniej chcą nasi najserdeczniejsi. Sprawa p. Mehoffera jest dosyć jasna a przynajmniej nie do tego stopnia powikłana, do jakiego, chcąc czy niechcąc, pogmatwał ją prześwietny sąd wyższy w sprawach karnych we Lwowie. Pan prokurator wziął, albo raczej dostał — na terminach tych nie znam się zgoła — dwa tysiące guldenów od państwa Euslerów, a to w tym celu, aby sprawiedliwości — nie stało się zadość. Postępowanie tego rodzaju weszło podobno na Bukowinie w zwyczaj narodowy, a „arka przymierza między nowszemi a dawnemi laty“ wygrywa na ten temat tysiączne melodye. Jak się to stało — mniejsza, dość, że nadużycie wyszło na jaw, pp. Euslerów stawiono przed sąd i ukarano wedle jakiegoś tam austryackiego paragrafu. Wniosek stąd: p. Mehoffer winnym jest zbrodni przekupstwa. Hola, *civis sum!* zawołał św. Paweł, gdy mu raz w żyłach krew szlachecka zagrała. *Procurator sum!* rzekł znowu, obojętnie ziewając, p. M. i wyłonił się z ukrycia, do którego tak niepotrzebnie schronił się był podczas pierwszego ognia. Stawił więc śmiało czoło niebezpieczeństwu i — *audaces* zwykle *fortuna juvat*—wyszedł cało. Tenże sam sąd, który orzekł, że Euslerowie przekupili Mehoffera, uznał, że p. M. nie został przekupionym. No, jak się to komu podoba? Nam przynajmniej bardzo. To też śmieją się ludziska do łez, zawracając oczyma ku Wiedniowi tak, jak to robili przed dwoma laty, kiedy wydano wyrok na Szpundra, Załuskiego, i innych. Chłopi poszli do kozy, a hofratowi, czekano tylko, czy orderu nie dadzą...

A to co? Stoi czarno na białem najwyraźniej, przecieram jednak oczy i jeszcze raz czytam: „Patronie *Prawdy*, módl się za Nami!...“ Jakiegoż, u licha, *Prawda* nasza może mieć patrona, co się modli — i to za kim? Za „nami“ przez wielkie *n*! Eh, myśmy się przecież nigdy tak nie honorowali, przedewszystkiem zaś nie słyszałem, aby w ostatnich czasach dostał się do nieba wogóle jaki pozytywista. Dawniej wprawdzie nie szedł tam, kto nie chciał albo nie mógł ufundować kościoła, ale dzisiaj cenzura tam jest, jak wiadomo, ostrzejszą i kto niema poufalszych stosunków z św. Piotrem albo jego następcami stosunków, a kluczów ich do nieba nie smaruje oliwą, przed tym wszystkie wrota do królestwa niebieskiego stoją zamknięte.

Wątpliwości moje rozwiały się niebawem. Przeczytałem podpis — Marya Bartus — i rozjaśnił się umysł mój, chociaż nie przedsiębrałem wycieczki do Damaszku. Ponieważ jednak poetki z ś. p. *Tygodnia polskiego*, w którym prace swoje umieszczali Ochorowicz, Kozłowski, Abakanowicz i inni, trudno posądzić o szczególniejszą złośliwość dla *Prawdy*, przypuszczam, że to nie co innego, a towarzystwo towarzyszów Mickiewicza podziałało tak na nią, iż drwi sobie z św. Jana z Dukli, aby tylko dokuczyć *Prawdzie*.

Żart żartem. Prawdopodobnie — jedynie niedokładna znajomość znaków pisarskich zrodziła *bon mot* o św. Janie i naszem piśmie — ale, mój Boże, „czemuż nie mówisz wyraźniej do człowieka, aby wiedział, co mu sądzić należy?..“ Bo co do mnie, to doprawdy ani o pannie Bartus nie potrafiłbym wam już dzisiaj nic powiedzieć, ani tem mniej o naszej Radzie miejskiej, magistracie i prezydencie stolicy kraju, urządzających nietylko z oo. bernardynami kościelne, ale i najrozmaitsze świeckie nabożeństwa na pamiątkę 400-ej rocznicy śmierci świętego, czy też tylko błogosławionego Jana z Dukli. Prowincyonalny nasz święty nawracał „szyzmatyków“ na katolicyzm i dopomagał polakom w walkach z kozakami, jest więc — jak widzicie — dostateczny powód do iluminowania miasta i bicia we wszystkie dzwony. Było nawet więcej tej pobożnej parady. Rada miejska w kontuszach i kołpakach chodziła z „Harmonią“ po mieście i przy odgłosie jej rozstrojonych instrumentów, patrząc w niebo, domagała się cudu.

Już też i *Szczutkowi* było tego za wiele, który wziął na odwagę a występ jego wart powtórzenia z tej chociażby racyi, że był najzupełniej w prasie naszej odosobniony. Brzmi ta fałszywa nuta w pobożnym akordzie „postępowych“ organów tutejszych tak:

„Są ludy, które wierzą w rozum swój i pracę,
W zdrowy muszkuł, myśl zdrową...

. . . .

One też nie szukają inicyatyw w niebie,
Ich hasłem: mądra praca dla siebie przez siebie.

Jest jednak pewien naród, co inaczej myśli,
Już go znają stąd ludy!
Ten marzy i wśród marzeń swych czeka spokojnie,
By zbawiły go cudy...
Ten na pomoc przyzywa zamiast własnej pracy
Przeróżne elementy
I prosi, by za niego zechciał ktoś coś zrobić
Święty czy też nie święty...
A kiedy zawiodą cudowne esencye,
Zacznie wtedy wierzyć bodaj w ekscelencye!..

Rewera.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, lipiec.

Uroczystość muzyczna w Moguncyi. — Głosy krytyki o ostatniej rozprawce H. Spencera. — Ostatni zeszyt czasopisma historyczno-religijnego francuskiego. — Meluzyna. — Pieśni litewskie p. Juszkiewicza. — Du Bois-Reymond o Diderocie. — Bessel. — Dwa nowe dzieła o pesymizmie. — Profesor Freymond. — Śpiewacy wiedeńscy.

W końcu pierwszego tygodnia ubiegającego miesiąca odbył się wspaniały koncert w Moguncyi; słusznie nazwano go już nie koncertem, ale uroczystością muzyczną: zjechało się kilka stowarzyszeń śpiewaczych z miast pobliskich, a w połączeniu z miejscowemi liczba śpiewaczek i śpiewaków, biorących udział w trzydniowym tym festynie, urosła do 1,064, nie licząc w to orkiestry, złożonej ze 150 muzyków. Tak więc przeszło 1,200 osób składało się na wywarcie istotnie niezwykłego wrażenia, które się potęgowało jeszcze przygrywaniem wielkich organów i wyborną akustyką nowowzniesionej sali koncertowej. Miałem sposobność być na dwóch koncertach i ich próbie. Z pomiędzy wykonanych tam utworów, najsilniej, najpotężniej uwydatniły się niezwykłe te zasoby w wykonaniu *Mesyasza* Händla i *Pieśni tryumfalnej* Brahmsa. Ulegając chwilowo wrażeniu tych rozhukanych fal dźwiękowych, myślałem sobie, że może wyznawcy Wagnera i Hartmanna mają słuszność, dowodząc, że muzyce sądzono jest w przyszłości zastąpić rozpadające się węzły społeczne: religię, rodzinę, narodowość... Zbierają się tysiące ludzi i w imię niewidzialnej jakiejś potęgi, jedni śpiewają, ulegając drganiom laseczki jednego człowieka, drudzy, dech wstrzymując, słuchają, a wszyscy razem poddają się dziwnym wzruszeniom, tajemniczym dreszczom, nieopisanym zachwytom i uniesieniom; zdaje się im, jak gdyby na rozkołysanych falach tonów unosił się ponad nimi niewidomy duch jakich, którego jeden nazywa „Das Unbewusste,“ drugi „The Unknowable,“ trzeci „Najwyższą Potęgą...“

A jednak ileż złudzeń w tych wszystkich marzeniach! Naprzód, religia, niestety, ile widać z dotychczasowego doświadczenia dziejów, nie tyle łączyła, ile różniła ludzi między sobą; a nawet lingwistyka okazała, że wyraz łaciński *religio* wcale nie od *ligare* (łączyć) pochodzi. Powtóre, owo coś „Nieświadomego,“ owo „Niezbadanego,“ toć to ułuda, płynąca z odwiecznych naszych nałogów metafizycznych...

Tak przynajmniej twierdzi pan Harrison w swej krytyce najnowszej rozprawki Spencera o religii, o której wspominałem poprzednio. Nie powtarzam tu jej treści, bo kto zna inne prace znakomitego filozofa angielskiego, ten z nich ma już dostateczne pojęcie o jego stanowisku religijnem; zresztą, ile mi wiadomo, rozprawę tę ujrzymy wkrótce w przekładzie polskim, jak już ją posiadamy przetłumaczoną na wszystkie języki europejskie. Wspomnę więc tu kilku słowami o replice czystego pozytywisty, Harrisona.

Powiada on, że Spencer, szukając „ewolucyi religii,“ znalazł „religię ewolucyi;“ opuściwszy stanowisko deistyczne, zajął metafizyczne; zamiast „L'Etre Suprême“ XVIII wieku, postawił „The Unknowable,“ pisząc je także przez wielką literę i przyznając mu pewne atrybuty: siłę, nieskończoność, niezbadaność itd. Rodzą się tedy dwa pytania: nasamprzód, czy i jak można określać atrybutami to, co się nazywa „Nieznanem,“ albo „Niepoznawalnem,“ chociażby się owo coś pisało przez największe głoski; powtóre, jakim sposobem cześć czegoś „Nieznanego“ lub „Niepoznawalnego“ zastąpić może dotychczasową religię?

Pytania te Harrisona trafiają w sam rdzeń metafizyki Spencerowskiej. Jako czysty Comte'ysta, odpowiada on na drugie pytanie, że tylko cześć ludzkości zastąpić może wygasające w sercach naszych uczucia religijne, bo ludzkość i świat ją otaczający, to przecież realność, to coś „Znanego“ i „Poznawalnego.“

Wogóle wspomniany wyżej artykuł Spencera wywołał mnóstwo replik, krytyk, pochwał i nagan; dla jednych sięga on za daleko, dla innych za blisko. Ostatni zeszyt *Revue de l'histoire des religions* poświęca mu obszerną rozprawkę, godząc się w głównych rzeczach na pogląd filozofa.

Zbioropismo to, o którem nieraz wspominałem, rozwija się i ulepsza. Obecnie na

czele jego stoi Jan Réville; liczy ono już dziewięć tomów, ogłaszanych w ciągu niespełna lat pięciu. Zeszyt ostatni, oprócz dalszych ciągów i przeglądu literatury bieżącej, zawiera zajmującą rozprawkę Monteta o powstaniu wiary w nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciał u żydów. Wiadomo, że ani w jedno, ani w drugie starożytni izraelici nie wierzyli; autor dochodzi źródeł tych wierzeń, które się pojawiły na paręset lat przed erą naszą i upatruje je we wpływie mazdeizmu, czyli religii staroperskiej, a jeszcze więcej w helenizmie aleksandryjskim.

Kilka lat temu zaczęło było wychodzić w Paryżu pismo, poświęcone wyłącznie badaniu i gromadzeniu wierzeń ludowych, pod charakterystycznym tytułem *Mélusine*; znany celtolog Gaidoz stał na czele jego; po roku istnienia (1877) upadło. Obecnie, od kilku miesięcy, odżyło pod tym samym tytułem i redaktorem.

Jakżeby pomyślnie było dla piśmiennictwa naszego, gdybyśmy się i my doczekali podobnego czasopisma. Nim to nastąpi, pojedynczemi usiłowaniami brak ten ile można się zastępuje. Oto świeżo przybywa ogromny tom pieśni litewskich, zebranych przez ś. p. księdza Antoniego Juszkiewicza, a ogłoszonych przez brata jego, Jana, profesora w Kazaniu. Tytuł zbioru tego: *Letuwiszkos swotbines dajnos* (pieśni weselne litewskie, Petersburg, 1883, w wielkiej 8-ce str. 898); zawiera on ni mniej ni więcej jak tysiąc sto pieśni, śmiało rzec można, jedna od drugiej piękniejszych. Wyrosły one, jak kwiatki polne, na niewielkiej przestrzeni paru mil kwadratowych, w Wielonie i jej okolicy nadniemeńskiej.

„Nie mało trudu i kosztów potrzeba było na spisanie tych śpiewów, powiada w przedmowie wydawca. Zapisać piosnkę jakąkolwiek można było albo zapraszając do siebie pieśniarza lub pieśniarkę, w chwilach wolnych od zatrudnień, albo też udając się osobiście do chaty, gdzie mieszkali. W każdym razie uzbroić się należało albo w traktament, albo w podarunek jakiś, dla wynagrodzenia za przeszkodę w robotach gospodarskich, oraz dla pozyskania sobie życzliwości i zaufania; a podczas prac letnich w polu, w dzień powszedni, trzeba było od dnia płacić śpiewakom."

„Litwini i litwinki wielońskie bardzo lubią *dajny* (pieśni). Kobiety przyśpiewują sobie przy każdem zatrudnieniu... szczególnie na weselach. Śpiewają zresztą wszyscy, mali i dorośli, mężczyzni i kobiety. ...Wszyscy pieśniarze i pieśniarki, których nazwiska w zbiorze tym wymieniono, są prostemi wieśniakami i wieśniaczkami. Od rana do wieczora zaprzątają się oni tylko sprawami gospodarskiemi. Wyhodowały ich matki, szczere litwinki, nie znające żadnej innej mowy, prócz własnej litewskiej. Czytać drukowane nie wszyscy, a pisać nikt nie umie. Pieśni i nuta ich przechodzą z pokolenia na pokolenie drogą tradycyi: córki ich wyuczają się od matek, ciotek i babek. Nie mogę przemilczeć jednak, iż w naszych czasach upodobanie w pieśniach zaczyna stygnąć u młodych litwinek. W jednej rodzinie dostrzedz dziś już można, że córka nie umie ani połowy dajnów, które śpiewa matka, ciotka lub babunia. Lepsze pieśniarki, jak np. Błażenie, Norwilenie, Sadauskenie (Sadowska), Senkauskene (Sękowska) liczą sobie po 50 lat, Bakszajtenie, Ćwirkenie i Kasiulenie po 60, Dabkuwienie 65, Daszkuwienie 70, a Gotautenie (Gotowtowa) 80 lat życia."

W dalszym ciągu przedmowy, p. Juszkiewicz podaje zupełny spis wieśniaczek, które pieśni podyktowały: widać z niego, że jedna sześćdziesięcioletnia niewiasta umiała 400 śpiewów! Kilka innych podyktowały po dwieście kilkadziesiąt pieśni.

Nie wszystkie piosnki mają widoczny związek z obrzędem weselnym: znaczną ich większość śpiewa się i przy innych obrzędach, zabawach i wogóle na zgromadzeniach towarzyskich; niewielka stosunkowo ilość treścią swą łączy się z weselem. Każda stanowi pewną zaokrągloną całość i jak to już dawniej Rhesa i Nesselmann zauważyli, odznacza się dwoistością budowy: naprzód jest niby teza, potem antyteza, pytanie i odpowiedź, zawiązanie i rozwiązanie; czasami dwoistość ta, z natury treści, przechodzi w troistość, poczwórność itd., co zresztą widać i na niektórych polskich śpiewach ludowych.

Ażeby dać choć przybliżone pojęcie o charakterze pieśni wielońskich, przytaczam tu drugą z kolei, zamieszczoną w zbiorze, tłomacząc ją ile możności dosłownie.

„Prosiłem Boga całemi dniami,
Żeby dał ranek mglisty, dzionek pochmurny.
Żeby mnie ludzie nie zobaczyli
Do dzieweczki do młodej jadącego.
Widzieć, nie widzieli, zrozumieć, zrozumieli
(Dokąd jeździłem) na gniadym koniku, na burem [siodełku.
A gdzieżeś bywał, mój ty syneczku?
Czemu konik szronem okryty, czemu czapka mgłą [przejęta?
Dlaczego siodełko wilgotne, kapota zroszona?
Ojczulku mój, stary mój,
Jeździłem równemi polami, oglądałem żytko na górze.
Jeździłeś równemi polami,
Odwiedzałeś w wiosce dziewczynę i jej rutkę zieloną.
Oj, prawda, prawda, mój ojcze,
Odwiedzałem w wiosce dziewczynę i jej rutkę zie- [loną.
Ej nie łaj, nie łaj mię, ojcze;
Ładna moja dziewczyna, ładna moja młoda.
Popatrzeć, ładna, pomówić, miła,
Dobrych rodziców córeczka,
Bóg zna i serce i myśli dzieweczki!

Nieraz podnoszono pytanie, skąd lud nasz bierze zasady moralne, których się w życiu trzyma? Starałem się dawniej (*Prawda* 1882 nr. 32) okazać, iż wpływ kościoła na pojęcie jego etyczne był i jest nadzwyczaj mały, lecz że główna podstawa etyki ludowej spoczywa w tradycyi, w „świętym obyczaju" i w pieśni. Bliższe obeznanie się ze śpiewami ludu litewskiego szczególnie o tem przekonywa. Ileż tam delikatnych, czułych, szlachetnych strun dźwięczy! Ile dobrych, serdecznych, ciepłych objawów ma ta chłopska natura, którą przywykliśmy w karczmie tylko lub w pańskim lesie, pijaną i grubiańską sobie wystawiać. Może wreszcie takim wieśniak się okazuje i chce ukazywać wobec tych, których ani powodów, ani obowiązku nie ma kochać; ale tu, w pieśni domowej, przeznaczonej dla jego gminy i gromadki, to inny zupełnie człowiek: delikatny, miłosierny, współczujący, tęskniący i kochający; a jakiż przytem poeta! Wartoby było doprawdy, żeby ci powieściopisarze, którzy chłopa tylko jako bydlę malować umieją, zajrzeli do pieśni p. Juszkiewicza: poznaliby to bydlę z innej, lepszej strony i uznaliby w nim może istotę, stworzoną na obraz i podobieństwo... szlachcica.

Dodać muszę do tej wzmianki o zbiorze powyższym, że autor dla wyrażenia brzmień mowy litewskiej używa głosek łacińskich, zmodyfikowanych znaczkami i poniekąd kształtem, nie odstępując od poprzednio przez siebie przyjętego sposobu; oraz że do ustalenia tekstu i pisowni dopomagał mu czynnie p. Baudouin de Courtenay, obecnie profesor dorpacki, za co mu wydawca w przedmowie dziękuje. Oczekujemy teraz niecierpliwie obszernego słownika litewskiego p. Juszkiewicza, który już się drukuje w Petersburgu.

Berlińska Akademia umiejętności święciła 3 lipca pamięć Leibnitza; przy tej sposobności prof. Du Bois-Reymond wypowiedział mowę o Diderocie, który umarł właśnie sto lat temu (31 lipca (1784), a którego pomnik francuzi wkrótce odsłonić mają. Mówca wyszedł z tego założenia, że Akademii berlińskiej przedewszystkiem przystoi obchodzić rocznicę śmierci wielkiego francuza, bo nie paryskiej, lecz jej był on za życia członkiem. „W porównaniu z wszechstronnością Diderota, Voltaire, Goethe, nawet za typ polihistora uważany Leibnitz, na cześć którego zgromadzeni jesteśmy, wyglądają jak ograniczeni specyaliści" — tak energicznym frazesem określa D. B. Reymond encyklopedyczną wiedzę Diderota. W dalszym ciągu podnosi zasługi, odwagę i oryginalność jego, sławiąc przytem niezwykłą zacność i uprzejmość oraz pracowitość. „Któż o trudach i poświęceniu jego myśli dzisiaj, spokojnie przerzucając słowniki Brockhausa albo Meyera, które, mimo zmiany tytułu, są przecież wnuczkami wielkiej owej encyklopedyi? Któż myśli o walkach i ich bojownikach, spokojnie owoców ich używając?" Podniósłszy znaczenie Diderota jako dramaturga i powieściopisarza, tak mowę swą zamyka: „Na dni kilka przed śmiercią jego, 22 lipca 1784, urodził się w Minden Bessel, największy po Keplerze astronom niemiecki, niespożyta ozdoba Akademii naszej, która, choć jej sławni członkowie schodzą ze świata, sama nie umiera."

Tego właśnie Bessla rocznicę urodzin obchodził przed kilku dniami uroczyście Królewiec, który mu zawdzięcza obserwatoryum i długoletnią pracę profesorską na uniwersytecie tameczaym (umarł r. 1846).

Zwolennicy filozofii pesymistycznej, zakroju Hartmannowskiego, otrzymują w dwu świeżo ogłoszonych dziełach pożądaną strawę duchową: szanowny mój przyjaciel Rafał von Koeber, rodem z prowincyi nadbałtyckich, dotychczas w Heidelbergu zamieszkały specyalista filozof i niepospolity muzyk, obecnie mianowany profesorem nowozałożonego konserwatoryum muzycznego w Karlsruhe, ogłosił „Wykład systemu filozoficznego Hartmanna" (*Das philos. System E. v. Hartmanns*, Wrocław 1884, str. 402), a pani Olga Plümacher, która nieraz już kruszyła kopie za proroka pesymizmu, wydała książkę p. t. „Pesymizm w przeszłości i teraźniejszości" (*Der Pessimismus in Vergangenheit und Gegenwart. Geschichtliches und Kritisches*, Heidelberg. 1884. str. 354).

Odkładając na później bliższe poznanie dwu tych prac duchem pokrewnych, donoszę z wiadomości miejscowych, że p. Freymond romanista, o którym dawniej pisałem, otrzymał był wezwanie na profesora do Krakowa, ale ponieważ jednocześnie uniwersytet tutejszy ofiarował mu katedrę nadzwyczajną, pozostał więc tutaj.

Przed kilku dniami popisywali się w Heidelbergu śpiewacy wiedeńscy, tak zwany Schubertbund; było ich 130, śpiewali bardzo pięknie; przyjmowano ich świetnie, koncertem i iluminacyą na zamku, jako ofiary słowiańsko-węgierskiego ucisku w Austryi. Ofiary to śpiewały jednakże bardzo wesoło piosenki.

Jan Karłowicz.

HENRYK SIENKIEWICZ
(LITWOS).

VI.

Obok dwu — jeśli nie artystycznie, to tytularnie głównych postaci — Wiśniowieckiego i Chmielnickiego — porusza się liczny zastęp figur rozmaitej rangi. Przedewszystkiem Skrzetuski i Bohun — przedstawiciele dwu ścierających się z sobą światów: szlachecko - polskiego i ludowo - kozackiego, oraz rycerze, walczący o kochaną wspólnie kobietę — Helenę. Gwałtowna miłość tak ich odurzyła, że poruszają się jak lunatycy, nie my-

ślą, nie widzą w wojennym odmęcie gwiazd przewodnich, a innych bohaterów tak dalece plączą w dzieje swego serca, że powieść obraca się ciągle na dwu osiach i często niewiadomo, czy główną jej treścią jest rozprawa Wiśniowieckiego z Chmielnickim o Ukrainę, czy Skrzetuskiego z Bohunem o kniaziównę. Rycerz polski — spokojny i sentymentalny, kozak — namiętny i dziki — to cała ich różnica i rysopis. Pierwszemu z nich pomaga w odzyskaniu kochanki — trzech muszkieterów: Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta, z których drugi tylko, niepozorny a śmiały i ochoczy rębacz, przypomina planetę, na której żyją ludzie. Zagłoba — to z początku aż do niewolniczego naśladownictwa podrobiony Falstaff, opój, żarłok, tchórz, pieczeniarz, kłamca, z wielkim brzuchem i wyprawną gębą; później, chociaż je i pije jak cały pułk, staje się powoli śmiałym żołnierzem, szlachetnym przyjacielem i sentymentalnym towarzyszem broni. Jest to postać, w której autor zgromadził najwięcej psychologicznych fałszów, życiowych nieprawdopodobieństw i... świetnych objawów swego talentu. Jej kontur niema w sobie ani jednej linii oryginalnej, jej rozwój żadnej prawidłowości psychologicznej, ale w tym cudzym i sztukowanym konturze znajdujemy tyle dowcipu, humoru, jędrności i pomysłowych szczegółów, że Zagłoba jest najwyższą miarą, do jakiej wzniósł się talent Sienkiewicza. Gdy ten okseft tłuszczu i wina, mający odruchy szlacheckie, jedzie z kozakiem Bohunem na rabunek, a potem wykrada ze spustoszenia i rzezi kniaziównę i przebrany za dziada tuła się z nią po stepie, osaczony rozwścieklonem kozactwem, gdy drżąc ze strachu, zabija wojowników tatarskich i należy do niebezpiecznych wypraw — przedstawia nam dziwolągi psychologiczne, które tylko chęcią podszycia bohaterstwem nawet wieprzów jednej strony wytłomaczyć można; ale gdy autor opisuje tego samego Zagłobę, nurkującego w trawach stepowych, przeklinającego konieczność brania udziału w bitwie, przechwalającego się z niebywałych zwycięstw, bawiącego swe otoczenie grubym humorem — jego pióro budzi istotny podziw bogactwem barw niezwykłych. Sienkiewicz, którego dyalogi zwykle są mdławe, miękkie, rzadko nad pospolitość wzniesione, z ust tej jednej karykatury wydobywa takie potoki szczerego i przedziwnego humoru, że trzeba się obejrzeć za najlepszymi wzorami, ażeby znaleźć odpowiednie porównanie. I tylko właśnie doskonałość takiego wzoru w Falstafie wyjaśnia nam w autorze ten szczęśliwy nastrój.

Trzeci muszkieter Podbipięta milczy, odpierając dobrodusznemi zdziwieniami ostre podcięcia Zagłoby, i — głowy ścina. Gdy ściął trzy — zginął w nierównej walce. I to także sympatyczna, chwilami zabawna karykatura.

Pomijam długi szereg charakterów dalszego planu, nawet artystycznie zakwefioną i w roli wydzieranego sobie łupu przeważnie występującą Helenę, gdyż brakmi miejsca na przesunięcie ich przed oczami czytelnika, chociaż niektóre z nich — np. kniahinia Kurcewiczowa i pachołek Rzędzian — za fantazyą autora świadczą wymownie.

Powieść *Ogniem i mieczem* należy niewątpliwie do najlepszych płodów piśmiennictwa *polskiego*. Jest to bowiem obraz o zakroju szerokim, niektóre w nim szczegóły, zwłaszcza opisowe, wykonane świetnie, wątek wywija się żywo, materyał obserwacyjny zbytkowny, pomysłowość rozległa, zasób archeologiczny duży, zużytkowywanie go pewne i swobodne, zaciekawianie umiejętne — mimo to wszystko jest to utwór może najmniej oryginalny i najułomniejszy artystycznie ze wszystkich, jakie Sienkiewicz napisał. W znacznej części pokaleczyła go tendencya i pospieszna robota kawałkami. Tendencya kazała kosztem prawdy historycznej rozrzucać fałszywie światła i cienie, idealizować to, co idealnem nie było, naładowywać bohaterów polskich olbrzymiemi dozami męstwa i wszelkich cnót, które nie sprowadzają skutku; dorywcza praca dla dziennika zmuszała do nieładu w planie, do ciągłych jego zmian pod wpływem uwag przyjacielskich i podbudzania czytelnika scenami jaskrawemi — ciągłemi opisami bitew, które nie tworzą żadnej całości, lecz przerywają się w punkcie znużenia autora. Dosyć tej kroniki obozowej — powiedział on sobie przy końcu tomu czwartego — i postawił kropkę śmiało, bo wprawdzie do Beresteczka, naturalnego rozwiązania, nie dojechał, ale Helenę Skrzetuskiemu oddał.

Skutkiem tego powieść ma dwie główne i niezmiernie ciężkie wady: nie przedstawia gruntu życiowego, na którym się toczą wypadki a w ich biegu nie odsłania przyczyn. Trudno uwierzyć, a przecież Sienkiewicz nie nakreślił wcale tła swego obrazu. Mniejsza o zupełny brak ludu polskiego, z którego nie wziął na pokaz nawet przysłowiowego *Paradebauera* uroczystości szlacheckich, ale czyż nie należało w czterech tomach przeznaczyć bodaj kilku kartek dla paru szkiców z życia domowego szlachty, zwłaszcza, że jej zjazd na wybór króla do Warszawy nastręczał ku temu sposobność? Widzimy tylko szumiącą pianę wojenną, ale co pod nią? Biją się, odpoczywają i znowu się biją. To nie powieść historyczna, odzwierciedlająca cały widnokrąg danej chwili, ale pamiętnik żołnierza, który nie miał czasu ani wyjść z obozu, ani zatęsknić do domu i przypomnieć go sobie.

Brak tego życiowego podkładu musiał sprowadzić brak w tłomaczeniu wypadków. O co walczy Skrzetuski z Bohunem, wiemy, ale o co Wiśniowiecki z Chmielnickim — nie wiemy. Pierwszy broni władzy a drugi się buntuje? Byłoby to wystarczającem, gdyby do owego buntu nie zerwało się całe kozactwo, gdyby sam autor nie zapewniał, że ono tworzyło półmilionową chmurę, że każde w tej chmurze usta ryczały nienawiścią przeciwko „lachom?“ Jaka przyczyna wywołała ten huragan, tę nienawiść, te wybuchy rozwścieklonej zemsty — to całe bluzgające ulewą krwi starcie? Czy tak oto poprostu Chmielnicki z osobistych pobudek krzyknął a na jego głos kozactwo wyskoczyło do rzezi? Sienkiewicz w (przytoczonej poprzednio) rozmowie Skrzetuskiego z Chmielnickim napomina leciuchno o ucisku królewiąt, który zrodził wojnę socyalną, ale jest to nawiasowe słówko, rzucone w przelocie bez żadnego akcentu. Ostatecznie czytelnik, niedość przygotowany w historyi, nie zgaduje wcale, o co wiodą się nieustanne boje i nieraz gotów przypuścić, że o... kniaziównę. Jest to daleko większa wada powieści *Ogniem i mieczem*, niż wszystkie inne, niż wykazana mu nieznajomość Ukrainy i jej języka *). A jednakże przeoczenie to wytłomaczyć sobie łatwo. Sienkiewicz musiał zakryć przyczyny wybuchu, ażeby nie popsuć sobie apoteozy szlacheckiej, o którą mu głównie chodziło. Wtedy bowiem z ramion sławionych „królewiąt“ spadłyby majestatyczne togi i ukazała się szpetna nagość. Tego nie mógł zrobić redaktor *Słowa*, stańczyk, rozwieszający papierową chorągiew z pobożnymi wykrzykami na znak swego udziału w pielgrzymce do Częstochowy (przed kilku laty). Była to wszakże ze strony autora zbyt wielka ofiara dla „obozu,“ bo głównie dzięki jej powieść stała się tylko kalejdoskopem bitew.

Przejrzawszy całkowitą działalność Sienkiewicza, otrzymujemy w rezultacie taki jego wizerunek. Jako myśliciel nie posiada on żadnych stałych zasad, lecz upodobania, które zawsze ciągnęły go w stronę szlachecką. W społeczeństwie widzi głównie dwa stany: bezgranicznie głupich, nieokrzesanych, pół-dzikich, chłopów, oraz prawych, trochę dla ludu za obojętnych, ale szlachetnymi popędami dobrej krwi ożywionych panów. Inne stany społeczne dla Sienkiewicza prawie nie istnieją. Jest to zadziwiającem i niezmiernie charakterystycznem, że pisarz młody, a więc na współczesność czulszy, ani jednym obrazkiem, ani jedną postacią nie zaznaczył w swych utworach nowego a tak ważnego żywiołu, który sprowadził wrzenie w całej Europie i rozpłynął się w naszem łonie, podczas

*) Znawca mowy ukraińskiej i współpracownik nasz, p. F. Rawita, nadesłał nam w swoim czasie następujące uwagi:

„Błędy, popełnione w powieści *Ogniem i mieczem*, dadzą się podciągnąć pod dwie grupy: jedne gramatyczne, wynikające z niezupełnej znajomości języka, drugie są po prostu polonizmami i rusycyzmami lub też wypływają z błędnej pisowni, skutkiem niewłaściwej wymowy.

P. Sienkiewicz pisze np. *breszet i breszet* (I, 36), *ty daleko wydajesz* (I, 40), *Lachiw rizajut* (II, 44).

Słowo: *robyty* w liczbie pojedynczej czasu teraźniejszego odmienia się — roblu, robysz, robyt'; a słowo *brechaty* w trzeciej osobie, liczbie pojedynczej ma nieregularne zakończenie; będzie więc: breszu, breszesz, *bresze* (ale nie *breszet*). Rusini galicyjscy używają wprawdzie zakończenia *et*, ale na Ukrainie nie występuje ono nigdy.

Wydajesz jest również zwrot nieużywany i wogóle słowo *wydaty* używa się najczęściej w trybie bezokolicznym: słychom — słychaty, wydom — wydaty; w potocznej mowie zamienia je powszechnie używany czasownik — *łaczyty* i ma regularne zakończenia w 2 os. l. p. czasu teraźn. *sz*.

Rizajut, słowo nieprawidłowo utworzone od czasownika *rizaty*, który w czasie teraźn. przemienia *z* na *ż*: l. p. riżu, riżesz, riże; l. m. riżemo, riżete, *riżut'*; zatem więc w miejscu *rizajut* trzebaby było powiedzieć *riżut'*.

Następnie niewłaściwie używa p. S. przymiotnika *wsij* — „zadywyt'sia *wsij* świt bożyj;“ taki przymiotnik nie jest używanym w formie pełnej, ale *tylko skróconej*: *wś*, *wsia*, *wsio*, przyczem wyrzuca się *e* we wszystkich przypadkach obu liczb: wsioho, wsiomu, wsim itd. w l. zaś mnogiej pisze się: *wsi*, *wsich* itd.

Czasem zdarzają się wyrazy wprawdzie ruskie, ale błędnie pisane i przez to skarykaturowane. Błędy te mają charakter czysto teoretyczny — tak np. p. S. stale pisze *i* w miejsce *y*: „*spasi* Chryste“ (I, 44), „*wiszni*, pane“ (I, 204), „*zachozi*“ (I, 209), „*koli—koli*“ (I, 228), „*prodati* mene *kak* raba“ (II, 20); tymczasem tryb rozkazujący od czasownika *spasaty—spasy*, kołoty — *koły*, w słowie prodawaty—*prodały*, nareszcie wymawia się: *wysznia*, *zachożyj* (czołowik) itd.

Niekiedy można napotkać frazesy, w których po prostu sensu niema, np. „*Oj ne zderżyte ditki, ne zderżyte* (II, 106) lub: „*ej mołojcy, słyszała ja szczob wy na Lachy*...“ (II, 118); są wprawdzie słowa: *zderżaty*, *wyderżaty*, ale forma użyta przez p. Sienkiewicza w ruskiej mowie nie istnieje i zresztą w tej postaci nie ma żadnego znaczenia i ledwie można go się domyśleć.

Czasownik *słyszaty* — nie istnieje, ale jest natomiast słowo *czuty*; spójniki — jakby, szczob, kołyb itp. służą do tworzenia trybu warunkowego: kołyb wy znały jak meni dobre, jakby ty pryjszow do meni itp; użyte zaś w powyższem zdaniu nie mają żadnego znaczenia i przyczyniają się tylko do skażenia sensu.

W końcu musimy jeszcze zwrócić uwagę na używanie takich rażących rusycyzmów, jak: *Szczo eto?* w miejsce: *szo*, albo *szczo ce*, albo *se?*; *kak* — w miejsce *jak*; wyraz *rab* nie używa się również w potocznej mowie, ale w języku cerkiewnym: pomiłuj raba bożija Iwana itp. Niektóre wyrazy są użyte niewłaściwie: *podłożono mu wojłokową kulbakę* (II, 11). *Kulbaka* — znaczy po prostu siodło (*Słownycia ukraińskoi mowy* F. Piskunowa) a *wojłok* oznacza szerść zbita w sukno; przeczytanie tego hieroglifu dałoby następujący rezultat: *podłożono mu siodło sukienne*. *Potnik* bywa wojłokowy, ale nie siodło i zwykle potnik podkładano pod siebie, a kulbakę kładziono pod głowę — takie było łoże w czasie wojenki.“

gdy starsi autorowie nie przeszli mimo tego prądu. Skutkiem tego np. stary Jeż jest żywotniejszy, niż młody Sienkiewicz. Jeżeli ostatnie pokolenia czytają *Ogniem i mieczem* lub *Hanię*, to tylko dla przyjemności estetycznej. Cała płonąca ku nowym ideom młodzież nie otwiera książki Sienkiewicza z drżeniem i nie zamyka jej z zachwytem (jak rosyjska czytając Turgeniewa), gdyż wie, że oprócz głupiego chłopa i rozumnego pana lub jakiegoś odwaru ludowego, który wsiąka w gąbkę szlachecką—nic innego nie znajdzie.

Jako artysta jest Sienkiewicz talentem wysokiej, choć nie pierwszorzędnej miary. Balzacowi, Flaubertowi, Dickensowi, W. Hugo, nawet wspiąwszy się, nawet podsadzony przez hr. Tarnowskiego w oczy nie zajrzy; ale polskich powieściopisarzów dorasta lub przerasta. Nie jest on w twórczości swojej śmiałym, oryginalnym, olśniewającym, klasycznym, nie opracowywa swych utworów—jak żąda Horacy—aż do paznokcia, często nie dba o prawdę życiową i konsekwencyę psychologiczną, wielkim dramatom swoją nowelistowską siłą podołać nie umie i nadsztukowywa ją uroczystem odmawianiem z bohaterami polskiego lub łacińskiego pacierza, ale opowiada nadzwyczaj mile, żywo, rozkosznie lub rzewnie. Nazwano go świetnym stylistą, którym nigdy nie był. Każdy jego utwór prosi się o ołówek sumiennego korektora. Sienkiewicz może bez skrupułu napisać: „Dnie całe *spędzałem* samotnie, na koniu, to w lasach, to w szuwarach na łodzi. Żyłem jak dziki człowiek. Raz całą noc *przepędziłem* w lesie ze strzelbą i psem przy ognisku, które rozniecilem umyślnie. Czasem po pół dnia *spędzałem* z owczarzem itd.“ W porównaniach ubogi i pospolity („Tak im był dobrze, że aż strach“ *Orso* itp.) nie zdradza wogóle bliskiego pokrewieństwa z wielkimi mistrzami słowa. Styl jego jest mową codzienną w wyższej potędze.

Bezwzględny realizm w powieści, nawet u Zoli, pozostanie na zawsze mrzonką lub tematem do scholastycznych sporów, gdyż żadna sztuka nie odtwarza życia wiernie—nawet fotografia. Istnieją tylko rozmaite stopnie naśladowania rzeczywistości. Otóż Sienkiewicz zajmuje stopień dość odległy. Jego opisy natury są dość realne, ale rozwój charakterów ludzkich zwykle fantastyczny, bo go ciągle wyłamuje nieopuszczająca nigdy autora chęć wzruszenia czytelników. Dość wspomnieć tu o ciągłem umieraniu i zmartwychwstawaniu Bohuna, o przewrotach w Zagłobie, o mitycznej sile Podbipięty, o miłości Heleny do Skrzetuskiego, miłości zawiązanej przez... sokoła. „Oto raróg, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwycił się namietnikowej dłoni i zamiast przesiąść, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć.“ Ten ślub dany na stepie przez sokola nieznanej sobie dotychczas parze, jest szczytem sentymentalizmu. Sienkiewicz sentymentalizuje ciągle, ale gdy sielankowy kisiel popieprzy nieco kilkoma grubszymi wyrazami—zsraz krytyka zachwyca się jego „realizmem.“ Tymczasem jest on realistą salonu, realistą sielanki, twórcą puszków i obłoczków życiowych.

Najważniejszą i dla każdego antora rozstrzygającą jest odpowiedź na pytanie: co on wnosi do literatury swojego narodu? Jako myśliciel Sienkiewicz dotąd nic wniósł nic nowego; jako artysta nie wprowadził nowych zasad twórczości artystycznej, lecz rozwinął i udoskonalił technikę poprzedników: Kaczkowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego, zapożyczywszy nieco środków artystycznych od Daudeta, Ouidy i innych autorów zagranicznych. Jest to dziś w młodem pokoleniu powieściopisarzów talent najwybitniejszy, ale, jak wszystkie talenty pochodne, wzbogaca literaturę bardziej ilościowo, niż jakościowo. Względem wielkich mistrzów sztuki pozostaje on w tym stosunku, w którym np. pozostają zdolni technicy, ulepszający genialne wynalazki. Dodana szrubka, zmienione koło rozpędowe lub inny układ jego rur — wszystko to dla lokomotywy są rzeczy ważne, nawet zapewniają swym autorom prawo patentu, stanowią wszakże drobne postępy wobec pomysłów Stephensona i Watta. Sienkiewicz nie stworzy szkoły i pozostanie uczniem, ale uczniem utalentowanym. To też literatura polska, witającego, nie potrzebuje przybierać się w świąteczne szaty i dawać mu do rąk palmy mesyanicznej, ale musi w nim widzieć jedną z dzielniejszych sił na teraźniejszość i przyszłość najbliższą.

A. S.

LIBERUM VETO.

Od śliny. — Utrwalanie w pamięci dzieci ważnych wypadków. — Na cześć Domejki. — Starzy w kurtkach i majtkach dziecinnych.—Pod imieniem Mickiewicza.—Przykazanie pierwsze. — Komisarz do spraw dworskich jako pisarz gminy konserwatywnej.—Odpowiedź i rada.—Bohater dla przyszłego Plutarcha. — Atrament niknący. — Jeden waryat a milion podobnych—nie. — Dr. Ochorowicz i Towarzystwo lekarskie czyli postęp radykalny i umiarkowany.

„Hic, haec, hoc“ — woła ni stąd, ni zowąd w znanej komedyi Fredry młody Jowialski, a zapytany, do czego ma się stosować ten wykrzyknik, mówi: „to tak — od śliny.“ Takiego przytyczka w nos daje *Kuryer codzienny* p. K. W. z *Kuryera warszawskiego*, który z powodu przybycia Domejki do Warszawy — proszę uważać — z powodu przybycia Domejki do Warszawy zwymyślał „smarkaczów,“ co przed dwudziestu laty uczyli starych „trzeźwości, wyrzeczenia się marzeń, pracy organicznej i innych pięknych rzeczy.“ Jeśli kto nie wie z historyi, na obrazie Matejki ujrzeć może draba z pękiem rózeg, przeznaczonych do otrzepania dzieci, ażeby pamiętały uroczystość *hołdu pruskiego.* Przodkowie nasi używali istotnie tego pedagogicznego środka do utrwalenia w młodem pokoleniu ważnych wspomnień dziejowych. Ta piękna tradycya przeszła do naszej konserwatywnej prasy. Czy to wyjdzie jakaś książka, czy zdarzy się jubileusz, czy podjętem zostanie wydawnictwo zbiorowe, czy wreszcie do Warszawy przyjedzie Domejko — występuje dziennikarski oprawca z wiązką rózeg i zaczyna siec... „dziewiętnastoletnich smarkaczów z przed *dwudziestu* laty,“ tj. ludzi, którzy dziś przeszli średni kres życia ludzkiego. Nazywa się to przyzwoitem, godziwem, dalekiem od tej „brutalności,“ którą grzeszy młoda prasa. Dodać trzeba, że od owych „zalążków jaj“ stare kwoki nauczyły się bardzo wielu prawd, wygdakiwanych dziś śród plucia w źródło, które dostarczyło napoju. Sama owa zasada „pracy organicznej,“ której nutę wytrębuje dziś każdy dziennikarski pocztylion, powożący omnibusem konserwatywnym, którą wybębnia każdy dobosz zachowawczej roty przed atakiem dla odparcia napaści gazet nam wrogich — nawet ta zasada jako główna pobudka życia polityczno-społecznego, wygłoszona została przez „smarkaczów.“ Opatrzność naszego próchniejącego konserwatyzmu widocznie chciała, ażeby on dziecinniał, w miarę jak liberalizm mężnieje. Dawniej pisma postępowe nie zdejmowały zbroi, nie przerywały strzelaniny zaczepnej, kłuły, rąbały, wyzywały, słowem — objawiały nadmierną krewkość i zawadyactwo; dziś nastała dla nich pora większej powagi, a natomiast przeżyci i zużyci zalotnicy opinii publicznej, emeryci literatury i wysłużeni jej woźni, przycinają sobie surduty do pasa a spodeńki do kolan, wypuszczają z tyłu sztandarki, napełniają kieszenie kamykami i wybijają ludziom poważnym szyby. Pyszny widok tego młokosowstwa zgrzybiałości! Patrząc na jej brutalne podrygi i psoty, nikt zdala nie przypuściłby, że to są starcy, którzy czasami występują w szatach kapłańskich, którzy schodząc ze świata, winniby zostawiać za sobą błogosławieństwa dla młoszych pokoleń, a nie rzucać im złorzeczeń.

I oto powracający z Ameryki po wielu latach tułactwa Domejko uczczony został w *Kuryerze warszawskim* takimi podrygami. Nie trzeba zapominać, że ten sposób uczczony został przyjaciel Mickiewicza, autora „Ody do młodości,“ czyli — jak by powiedział p. K. W. — „do smarkaczowstwa,“ tego genialnego poety, który nawet w gorączkowych snach towianizmu ścigał ciągle marę postępu i uznawał swą „solidarność w dążeniach z wielką Rewolucyą.“ Każda tego rodzaju kocia muzyka jest zawsze przykrą, ile razy pokrywa się imieniem wielkiego człowieka. Stało się u nas zwyczajem, że byle kto, byle grat dziennikarski, który miał zaszczyt urodzić się w tym samym, co Mickiewicz powiecie lub guberanii, przywłaszcza sobie prawo łajania w jego imieniu postępów myśli naszej. Tymczasem, o ile pośrednio wnioskować wolno, nieśmiertelny autor *Pana Tadeusza*, gdyby dni naszych dożył, nie przyjąłby tronu i korony w państwie naszych konserwatywnych zulusów. Był to bowiem geniusz, który rozglądał się po świecie szeroko i nie patrzał nań przez wązką szczelinę prawomyślnego braminizmu, wszystkie świeże prądy przepływały przez tę otwartą, olimpijską głowę, był to grek z Aten a nie z Byzancium, wszelkiej stęchlizny, umysłowego zasklepienia się nie znosił. Jego orlich oczu nigdy nie dotknęła kurza ślepota nawet wtedy, gdy one straciły siłę swego wzroku. Nie będziesz więc brał, warszawski kuryerkowiczu, nadaremnie imienia tego Pana literatury naszej, nie będziesz go nadużywał do wymysłów, które spadają na twoją własną brodę. Oto jest przykazanie pierwsze — inne pomijam, chociaż na zakaz składania fałszywego świadectwa zwracam uwagę.

Co wolno w Warszawie, czemuż by nie miało być wolno w Łomży! Tam nawet więcej wolno, bo zawsze stolica wymaga większego ochędóstwa w języku. Przez lat parę rósł tu na naszym gruncie mały oset, który czepiał się szat najrozmaitszej barwy dzienników, zostawiając w nich kolki przeciwko służebnościom. Dość było spojrzeć na podpis, ażeby wiedzieć, że on spoczywa pod bajką o czapli na wysokich nogach. Raz, dwa, dziesięć razy opowiedzieć ją czytelnikom — można, ale gdy niezmordowany bajarz chciał to samo powtórzyć po raz setny, gazetom, najmocniej pragnącym seperacyi gruntowej i leśnej z korzyścią dworu, sprzykrzyło się wreszcie to ciągłe klektanie o serwitutach i przedrukowywanie ukazów. I nie wiem, kiedy skończyłaby się bajka o czapli na wysokich nogach, gdyby pewnego poranku *Echo łomżyńskie* nie wstało z letargu a jego opiekunowie nie zapotrzebowali dlań guwernera, któryby znał szlachecki katechizm. Dzięki temu wypadkowi prasa warszawska pozbyła się dokuczliwego komisarza do spraw dworskich, a Łomża zyskała pisarza gminy konserwatywnej, układającego bezimiennie denuncyacye na liberalizm. Pomijając obowiązek przyjętej roli i potrzebę unieważnienia małżeństwa gazetki z *primo voto*, co też innego robić można na łomżyńskim bruku? Czy pismo prowincyonalne ma badać potrzeby, podnosić sprawy swojej okolicy? Ale któżby, zwłaszcza piszący kiedyś o serwitutach w Warszawie, imał się takiej błahej pracy! Szkalowanie *Prawdy* i organów postępowych — to zadanie organu prowincyonalnego. Przed wielu laty pewien skrupulatny urzędnik, zastępu-

jąc swego zwierzchnika a chcąc utrzymać samoistność obu urzędów, pisywał do siebie w pierwszym charakterze rozmaite przedstawienia, na które w drugim, nieraz ostro, odpowiadał. Podobnie w *Echu łomżyńskiem* p. Mizera napisał bzdurny list do p. Starczaka, a p. Starczak zadał nam ztego powodu bzdurne pytanie. Nie rozkładając na dwie osoby tego, co się jednej należy, odpowiemy dwugłowej istocie krótko i węzłowato: 1) jeżeli p. Mizera-Starczak chce się od nas czegoś nauczyć, niech pyta grzecznie a postaramy się wytłomaczyć mu nawet zagadkę własności, o ile na to panujący w jego umyśle zamęt pojęć i pustych wyrazów pozwoli; 2) przekonamy go wówczas, że *geneza* nie znaczy wcale: *początek* i *wywód*, lecz rodowód, oraz że poprawiając cudzą polszczyznę nie należy pisać samemu: *konfuzya*, *publika*, *konkluzye* itd., a nadewszystko *dwuch* przez *u*. Wszystko to wyjaśnimy p. Mizerze-Starczakowi, poproszeni o to grzecznie, a tymczasem radzimy mu, ażeby obok antiliberalnych kołowań nie zapominał o sławieniu rozumu i cnót konserwatywnych. Oto np. jeżeli obywatel, któremu odstąpiono bardzo tanio majątek na Wołyniu z warunkiem, ażeby go nie sprzedawał w niewłaściwe ręce, a on zamienił go na kamienicę w Warszawie i oddał w takie ręce — to wart stanąć między ideałami. *Echo łomżyńskie* zaś bardzo łatwo zdobędzie szczegóły do jego życiorysu, a w potrzebie dostarczą ich do wspomnianego faktu gazety rosyjskie. Chociaż dla takich bohaterów nie narodził się jeszcze Plutarch, nie powinni oni ginąć nieuczczeni zwłaszcza w chwili, w której należy dowodami przekonywać społeczeństwo, że ono zbawienia oczekiwać może tylko od konserwatystów.

Pomimo całego uznania wszakże sądzę, że w większej części wypadków należałoby ich zasługi spisywać atramentem niknącym, ażeby potomność nie odczytała wielu owych apologij. Takiego atramentu używają już do podpisywania weksli zręczni spekulanci na cudzy worek. Ach czegóż też w końcu nie wynajdzie gnijący handel warszawski w kierunku oszustwa! Pierwszy lepszy Icek przebiegłym pomysłem zdolny jest ubezwładnić każde prawo. Z bezprawiem łączy się wybieg i tworzy stan, w którym rzeczywiście — jak mówi Mellerowa (*Na pomoc*) — cnota panuje nad występkiem... w muzeum Florencyi na marmurze rzeźby Giovanni'ego di Bologna. Ile razy wychodzi nowa ustawa, obliczając jej skutki, niepodobna wypuszczać z rachuby, co na nią powie i jaki sposób stosowania jej wynajdzie najsprytniejszy pokątny doradca. Liczbę genialnych środków, drwiących z kodeksu, pomnożył świeżo niknący atrament. W tej sferze ludzie uczeni mogą jeszcze wystawiać weksle, ale wypożyczać na nie — ryzyko, nawet wtedy, gdy dłużnik materyalnie odpowiedzialny.

Ostatecznie trzeba przypuścić, że specyaliści od „obchodzenia prawa“, liczący na korzyść rozwożenia wody po ulicach, wymyślili jakiś kruczek, który wstrzymuje wodę z Wisły i roboty nad wodociągami. W przeszłym tygodniu stanęli do polemiki projektowicze, usiłujący zaradzić dotkliwemu niedostatkowi. Nie wsadzam swoich trzech groszy w spór techniczny, ale ogłaszam jego rezultat: wody nie ma i wody nie będzie jeszcze lat parę. Że niektórym kamienicom odcięte być mają krany od rur, a niektórym fabrykom zmniejszona ilość kosztownego choć brudnego płynu — to pociecha słaba. Jedyna nadzieja w deszczu latem i jesienią, w śniegu—zimą, a gdy niebo zawiedzie — w p. Krochmalu, który za skromne wynagrodzenie 1500 rs. zobowiązał się sprowadzić chmury deszczowo dla Łodzi i sprowadził, ale mu nie wypłacono. Ów p. Krochmal ma być waryatem. Albo to prawda! W takim razie waryatami musieliby być wszyscy uczestnicy suplikacyj, których rozum jest przecie szczególnie cenionym we wszystkich a tak licznych pismach konserwatywnych. Krochmal modlił się i śpiewał o deszcz... za to ogłoszono go waryatem. Czemu tylko jego?

Dzięki replice d-ra Ochorowicza na naganę Towarzystwa lekarskiego, dzięki jego wywodowi, że co głowa to rozum, nie wiadomo, czy brak wody ubezpiecza nas przeciwko cholerze, czy rozbraja. Autor broni się argumentem: jeżeli najwyższe powagi medyczne wyrażają wprost sprzeczne zdania o sposobach walki z cholerą i wykazują bezsilność dezinfekcyi, to i jemu wolno było przeciw niej się oświadczyć. I ja bym tak sądził, gdybym nie pamiętał reguły „postępu umiarkowanego“, któremu dr. O. ścieżki w Warszawie prostował, a który uczy: nowsze teorye przyrodnicze są bardzo piękne, mogą być zupełnie prawdziwe, ale ponieważ zawierają wiele wątpliwości, a przytem sprowadzają gwałtowny przewrot w pojęciach, należy je więc ograniczyć do książek specyalnych i nie rozszerzać za pośrednictwem pism popularnych. Jeżeli ta recepta jest dobrą, to dlaczegóżby jej nie zastosować do cholery i wyrzec: teorya bezskuteczności dezynfekcyi i kwarantanny może być słuszną, ale ponieważ nie została sprawdzoną, może narazić zdrowie ogółu, nie należy więc jej szerzyć za pośrednictwem *Kuryerów*, lecz pozostawić w wydawnictwach lekarskich. Nieszczęściem, dr. Ochorowicz stanął na stanowisku „postępu radykalnego“, a Towarzystwo—„umiarkowanego“. Stąd spór, któryby nie wywiązał się, gdyby dr. O. przypomniał był sobie farmakologię swego syna ś. p. *Opiekuna domowego*—organu „postępowości umiarkowanej.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Azorek, gruszki i befsztyk po angielsku. — Niezgodne zgromadzenie gminne, smutek *Gazety świątecznej* i znowu befsztyk po angielsku. — Zabawa mieszkańców Kurowic pod okiem Icka. — Jarmark i odpust. — Dwa listy. — Polityk z *Kraju* i ja.

— Bądź grzecznym, Azorku — mówiła do psa czteroletnia dziewczynka — przywiozę ci ze wsi gruszek...

Azorek tak się ucieszył obietnicą, że stanąwszy na tylne łapy, porwał z talerza cały „befsztyk po angielsku,“ oczekujący na jego pana...

Zapowiedzią „fruktów“ musi u nas zadawalać się wielu nie-Azorków.

Wierzbę, na której mają wyrosnąć słodkie owoce, już zasadzono nawet, ale uparte drzewo nie chce się pozbyć złudnych kwiatów nadziei. Mówię tu o niedawno zaszczepionej na naszej roli płonce samorządu gminnego. Najpożądańszym rodzajem łakoci, jakich się po niej spodziewają niewybredne podniebienia—jest: sprawiedliwy—rozkład ciężarów i powinności gromadzkich. Chociaż bowiem w broszurkach „Sąsiadów“ i „Rolników“ oglądałem rany własności większej, choć ma ona tysiączne *kłopota*, i ponosi wydatki, o jakich nie śniło się szczęśliwym Wojtkom (patrz listę odbiorców czasopism i księgi rachunkowe w handlach win), to jednak nie przestanę uprzykrzać się naszej „na wszelki sposób wyzyskiwanej (słownictwo *Niwy*) szlachcie.“

Postarajcie się panowie przytłumić w sobie zazdrość względem uszczęśliwianych (przez karczmarza) kmiotków i otwórzcie waszą znękaną kieszeń, chociażby dlatego, aby *Gazeta świąteczna* nie potrzebowała się martwić, że „w parafii Wielkomłyńskiej, gminy Maluszyn odbyło się bardzo *niezgodne* zebranie gminne.“ Nieporozumienia wynikły z powodu naprawy kościoła i plebanii. (Daruj im Boże, bo, gdy ty nie przebaczysz, to proboszcz tem bardziej). „Parafianie mieli składać na te naprawki z *każdego morga* pewną sumę, i już się na to wszyscy zgodzili.“ Bardzo słusznie! „Nie wybierano pieniędzy odrazu, żeby parafianom łatwiej było płacić.“ Jeszcze lepiej! „Gdy już sołtysi mieli zbierać drugą część tej składki, *nagle* z powiatu przyszło rozporządzenie, że nie trzeba dawać tyle a tyle z *każdej morgi*, ale z *każdego dymu* po pięć rubli.“ Czyż doprawdy rozporządzenie przyszło *nagle*? „Zrobił się w całej parafii gwałt i rejwach okrutny. Włościanie zaczęli się sprzeczać, że rozkaz wymyślili ci, co mają dużo gruntów (patagończycy), że nie będą płacić takiej składki. Zaczęli potem narzekać na większych właścicieli, że nie żałują na inne wydatki, a na chwałę bożą to nie chcą dać pieniędzy.“ Obawiam się, aby ostatni wykrzyknik nie podkopał wśród naszego ziemiaństwa wiary w zbawienny wpływ religii na lud. Któż-bo się mógł spodziewać, że chłopkowie zaczną tak prędko kalety swoje poświęconym zamykać kluczykiem? Czyżby jaki zefirek pokazał im podszewkę naszego płaszczyka tradycyi i pobożności? Ale na tem nie koniec. „Włościanie, nie uradziwszy nie na tem zebraniu poszli do karczmy i tam dopiero zaczęli wymyślać większym właścicielom ziemskim, że wymyślili takie rozporządzenie na swoją korzyść.“ Wymyślanie za „wymyślenie“ będzie zupełnie uzasadnionem, jeżeli starsi bracia, trwając w bezbożności, pożałują na chwałę bożą.

Zacny kierownik *Gazety świątecznej*, którego o złe chęci ani przez chwilę nie posądzam, tak się dał opętać naszej mazgajowatej etyce społecznej, że często biada i stęka tam, gdzie trzeba się cieszyć i radzić. W obyawach budzącej się samowiedzy ludu dojrzał on tylko „niezgodne zebranie gminne.“ Każdy, kto słyszał o polityce ekonomicznej kast, nie łudzi się, myśląc, że surdut poda z galanteryą siermiędze — na srebrnej tacy akt zrzeczenia swych praw i przywilejów. Sukmana musi go o to w ten lub inny sposób poprosić. Zamiast tęsknić za baranią uległością „gminiaków,“ trzeba było doradzić im jak mają w drodze legalnej krzywdy swej poszukiwać. Pan nie odmówi w kościele więcej antyfon i litanij od chłopa, ale przed ołtarzem Talii i Terpsychory wyprzedzić się nie da z pewnością. Boginiom więc pogańskim niech ujmie obroku i kościół dla Wojtka nie *według dymu*, lecz *z morga* naprawi. Dajcież im choć *gruszek* bodajby w interesie waszych... „befsztyków po angielsku.“ Rada taka więcej by wdzięcznych serc zjednała *Gazecie*, niż morały o tem, że „odpust nie jest jarmarkiem.“ Jeżeli wieśniak w dzień uroczysty opuszcza kościół i podąża na rynek, to żadne nawoływania stamtąd go nie zwrócą. Wreszcie nie szukajmy grzechu tam, gdzie go niema. Wieków średnich do nieskończoności przedłużyć nie można.

Daleko poważniejszem wykroczeniem jest „ciągła gra w karty“ — pod okiem Icka, przyjemność, której się we wsi Kurowicach parobcy skwapliwie oddają „zaraz po nabożeństwie.“ Nie upatrując w tem bynajmniej małego wpływu kazań na moralność kmiotków, pragnąłbym jednak wyszukać dla niej jeszcze „z jedno aby“ wędzidło.

Nie znalazłszy go w gazetach, wziąłem się do przejrzenia korespondencyi prywatnej. List pierwszy.

Szanowny Panie! U nas tu w Hrubieszowie niech pan Bóg broni co się dzieje. Tajak (zamiast: *jak*) Matkę kocham nie można już wytrzymać z temi kartami... (czyżby znowu gminiacy?). Jak przyjdzie ten ich dwudziesty, kiedy oni biorą swoje te żałowanie a właściwie pieniądze, tak zaraz i mój Karol i wszyscy, a wszyscy lecą a lecą na te karty. Taże (po hrubieszowsku: przecież) to wstyd, powiadam do mę-

ża, ale dla nich to tyle co nic. Jeszcze teraz wynaleźli jakąś *szrubę*, bo to *pada* (powiada) cała arystokracya w to się bawii w Koziej Łapce i w Wólce i wszędzie. Jak się zaszrubują, tak ani rusz. ja muszę pożyczać od Geldchapa, ale już nie daje. Upomnijcie wy też ich o te karty, zwłaszcza o te szrubę.

Z uszanowaniem i najniższa sługa
Aniela K.

List drugi. *Lublin, 1884 r. d. 5 sierpnia.*
Od czasu założenia u nas resursy nie mamy chwili spokoju, a właściwie mamy za dużo — bo mężowie ciągle są nieobecni. Ja dla swego umyślnie nauczyłam się sama kiksa i dzieci nauczyłam, ale to mu nic nie pomaga. Siedzi ciągle w resursie. Mówi, że oni tam o rzeczach społecznych radzą, a ja tymczasem wiem od żydków, że ich tam jakaś szruba dusi i gnębi. Pieniądze lecą jak woda. Małżonek szanowny pożyczał dotychczas, perswadując żydowi, że to dla społeczeństwa, ale lichwiarz zasięgnął języka w mieście i teraz mówi, iż tu nikt tego społeczeństwa nie zna i że dla społeczeństwa już nic nie da, bo może ono zaraz *zbankretuje*, to kto mu zapłaci. Co to będzie, co to będzie?

Pozostaję z szacunkiem *Marya S.*

Hm... Cóż będzie? Geldchap z Hrubieszowa zostanie wkrótce Geldhabem, a w Lublinie społeczeństwo jeżeli nie *zbankretuje*, to pójdzie do niewoli, ale nie egipskiej.

Oba te listy przesyłam proboszczowi, który będzie spowiadał szulerów z Kurowic.

Wróćmy do gazet.

Redakcya jednej z nich proponowała mi kiedyś prowadzenie działu politycznego. Prosiłem o parę dni namysłu. Bismark, konferencya egipska, wyścigi na Mokotowie, bil wyborczy w Anglii. Towarzystwo wioślarskie... jak ja to wszystko pogodzę? Nie przyjąłem. Teraz widzę, żem zrobił dobrze. Nieznajomość wyższej polityki prowadzi do grubych błędów. Popełnił ich dużo wołkowyski korespondent *Kraju*, przesyłając ostrą filipikę przeciw tym, którzy za bytności swej w Warszawie pozwalali nam oglądać najpiękniejsze barany i woły. Mowa tu głównie o sędziach i delegatach ostatniej wystawy inwentarza na placu Ujazdowskim. W Wilnie mają się odbyć wkrótce wyścigi, a przy nich obejrzeć można będzie wszystkie najtłustsze krowy okolic nadniemeńskich. Od przyszłych więc wystawców a zwłaszcza ich kierowników domaga się korespondent, aby dobro ogółu więcej mieli na względzie niż „delegaci" ujazdowscy. „Panowie ci, chociaż głoszą, że urządzona przez nich wystawa powinna wzbudzać ogólny interes, że obojętną być nie może dla każdego, kogo dobro kraju, rozwój jego dobrobytu i postęp wiedzy stosowanej do różnych sfer działalności ludzkiej obchodzi, zachowywali się tak, jak gdyby tylko ich garstka ten ogół stanowiła." Rozumie się, zacny panie, to nie wiesz chyba nic o przodownictwie? Ogół, to my! Nasze rumaki, to nasz ogół! „Naturalnie, że przy podobnem usposobienia delegatów mowy być nie może o jakichkolwiek zabiegach z ich strony, aby ściągać na wystawę drobnych rolników i nauczać ich na żywych przykładach racyonalności dobrej hodowli inwentarzy." Drobnych? Co? Zwaryowałeś pan. Musicie tam czytywać dyabli wiedzą co — może Darwina... Drobnych!.. drobnych! Nam niewolno się rozdrabniać; myśmy powinni trzymać się cało i przechowywać... „Podczas konkursu pługów w Służewcu włościanie okoliczni sami przyszli na pole, chcąc się przyjrzeć nieznanym sobie narzędziom rolniczym, lecz nietylko nie usłyszeli tu słowa objaśnienia, ale byli odsunięci od pługów, by delegatom ciasno nie było." Jakto? To włościanin nie ma jeszcze ustąpić wobec delegata? Pomyśl pan de-le-ga-ta! Przecież delegacya jest niejako parlamentem, zwłaszcza z panującego w niej języka, który przysługuje dyplomatom całego świata. „Jakże rażą przy takiem usposobieniu świadczącem o braku wszelkich zasad demokratycznych, deklamacye naszych znanych i nieznanych ekonomistów o solidarności wzajemnej i dążnościach naszej szlachty do oświecania młodszej braci skierowanych."

Panie mój złoty, jakże bym cię uścisnął za te słowa, ale — albo ja wiem, co teraz myśli Bismark!...

A. Kord.

Kijów. Tydzień cały spędziłem w Kaniowskiem, nie wiem więc, co się w Kijowie przez ten czas działo; zapewne nic ciekawego. Mogę obecnie podzielić się z czytelnikiem tylko przelotnemi wrażeniami podróży. Zastrzegam z góry, że, nieposiadając wcale daru opisowego, pomijam zupełnie przyrodą: rzeczki, lasy, łąki, stepy, domki i wiatraki, chociaż to wszystko bardzo mię zajmowało, lecz nie zdołałbym wiernie opisem wzbudzić tych myśli i uczuć, jakie do mej duszy się cisnęły.

Zostawiwszy tedy poczyę na stronie, zanotuję tu tylko kilka spostrzeżeń najprozaiczniejszych. Gdy towarzysze mej wycieczki zachwycali się po raz tysiączny cudnym widokiem wzgórz kijowskich, stając na pokładzie parowca, uwagę moją zwrócił kolporter, sprzedający książki i gazety. Jegomość ten uwijał się śród szarej publiczności, głównie włościan, wracających z pielgrzymki do świętych miejsc kijowskich. Kolporter, komisant firmy Oleninoj miał towar najrozmaitszy. Najwięcej miał książek i broszur religijnych w rosyjskim i sławiańskim języku; obok nich były romansidła rozmaite i wreszcie książeczki rusińskie, które sprzedawał na własną rękę, gdyż, jak mówił, taki towar płynie, jak woda. Że książki ludowe rusińskie mają zbyt zapewniony, dowodzi to, iż jedna z firm nakładowych moskiewskich wydała *Małoruskij piesiennik* i *Małoruskij czumak* z rycinami na okładce. Tylko aferzysta mógł wydać podobnie haniebne skoszlawienia ślicznych pieśni ukraińskich. Firma jednak nie straci — tytuł i okładka zapewniają zbyt. Aferzysta rozumiał dobrze potrzeby, wreszcie za wskazówkę służyły mu bardzo poważne cyfry wydawnictw ukraińskich. Oto kilka przykładów z bibliograficznej pracy p. Komarowa (*Pokażczyk nowoji ukraińskoi literatury*): 1) *De szczo proświt bożyj* od 1864 wytrzymało już 4 edycye; 2) Hlibow L. *Bajky* — 3 ed., z których ostatnia 1882 r. w 10,500 egz. 3) Komarow M. *Rozmowa pro nebo ta zemlu* i 4) *Rozmowa pro zemni syły* każda wydana w 15,000 egzempl.; 5) Szewczenko T. *Kateryna* (wydanie ludowe) wyszła w 4 edyc., z których przedostatnia 1875 r. w 10,000 egz., a ostatnia 1882 r. w 25,000 egz. itp.

Ludowych książek rusińskich naliczyłem do 100 tytułów, i każda edycya zawsze figuruje w poważnej cyfrze nakładu. Według obliczenia p. Komarowa wydano u nas w r. 1882 38 dzieł różnych w 137,000 egzemplarzach. Ceny tych książeczek są bardzo przystępne, od 3 do 15 najwyżej 20 kop. Roznoszą je najwięcej wędrowni kramarze rosyjscy, tak zwani „korobejniki" albo „ofenji," których się spotyka na każdym jarmarku na całej Rusi. Nie zważając wszakże na tak znaczny zbyt książeczek rusińskich, zjawiają się czasem nadzwyczaj oryginalne wypadki. Jak wiadomo, literatura rusińska podlega pewnym ograniczeniom. Policya powiatowa posiada o tem nadzwyczaj niejasne pojęcie. W jednem miasteczku, skąd wracam obecnie, „stanowy prystaw," zapytany o nowiny w przystępie zaufania, z wielką tajemniczością pokazuje mi zdobyte przez niego trofea—dwie rusińskie książeczki: *Pro chworoby i jak im zapomohty* i *Łycho ne bez dobra* przez panią Barwinek. Nie mogłem się wstrzymać od wybuchu wesołości, wszelako nie przekonałem naiwnego naczelnika jednej trzeciej części powiatu, że podobne książki kursują tysiącami, że są pozwolone przez cenzurę i rewolucyi sprawić nie mogą. „Zawsze to może być niebezpieczne," odpowiedział. W szkołach ludowych nie znaleść książeczki rusińskiej, są natomiast czytelnie, bardzo jednak nieliczne, złożone z książek pisanych w narzeczu wielkorosyjskim. Dobór częstokroć bywa zadziwiająco trafny, jak np. „O posiewie lnu," „O ulepszeniu gospodarstwa leśnego." (*Nb.* nasz włościanin zna las tylko kradziony). O ile lud nasz pochopny jest do czytania w języku wielkorosyjskim, możemy sądzić z następnego faktu, opowiedzianego mi przez jednego komisarza do spraw włościańskich. W Petersburgu wychodzi ludowa gazeta *Sielskij Wiestnik*, obowiązkowo prenumerowana przez każdą „wołost'" (gminę). Skrupulatny pisarz wołośny po otrzymaniu każdego numeru zapisuje go do regestru wchodzących papierów i z uszanowaniem wszywa do osobnej okładki zatytułowanej: „Sprawa X wołośnego zarządu z nr. .... 1884 r. Sielskij Wiestnik."

Lecz wróćmy do kolportera na parostatku. Niezły zbyt mają u niego książki religijne — „bożestwiennyja," jak je lud nazywa. Nigdym nie myślał, że lud takie ceni, chociaż zupełnie nic a nic z nich nie rozumie, gdyż język cerkiewno-sławiański zupełnie mu jest obcy. Najwięcej poszukiwane są książki wydawane przez kijowską Ławrę i w Poczajowie. Jeden z pątników, kozak kubański, wracał z Poczajowa i zajmował swemi opowiadaniami o Najś. Pannie Poczajowskiej ciekawych wieśniaków. Opowiadanie jego głównie poświęcone były cudem sławnego obrazu, przyczem głosił, że gdy *anjaty* mieli już zrabować cerkiew, więc Najś. Panna strzelała do nich, a ich strzały do nich odrzucała. Za nic nie chciał się zgodzić na moją poprawkę, że to nie byli unjaci, lecz turcy. Ów pątnik przewędrował parę tysięcy wiorst po to tylko, aby się dowiedzieć o wielkiej złośliwości „anjatów."

Po kilkogodzinnej żegludze Dnieprem, wysiadłem w Kaniowie, gdzie przy samym wjeździe do miasta zostałem uderzony nadzwyczaj smutnym widokiem. Trzecia część żydowskiej dzielnicy leżała w gruzach i zgliszczu dymiącem się jeszcze po rozmaitych miejscach; kilkadziesiąt domów i połowa sklepów zniszczone przez pożar. Uratować prawie nic nie zdołano, parę tylko posesyj było zaasekurowanych. Dla Kaniowa klęska to ważna, bo jest jednem z biedniejszych miast naszych. Agent Towarzystwa asekuracyjnego mówił mi, że obecnie zawalony jest prośbami o ubezpieczenia. Okazuje się, że nietylko lach mądry po szkodzie; drogo jednak ludziska za tę mądrość płacą.

W parę dni po moim przyjeździe otrzymałem wiadomość o nowej, jeszcze większej klęsce: spłonęło około dwóch set domów żydowskich w m. Horodyszczu w pow. czerkaskim. Będąc później na miejcu, widziałem masy biedactwa pozostałe bez dachu. O ile mi wiadomo, żadnych dotąd środków pomocy publicznej nie przedsięwzięto, chociaż *Zaria* alarmowała.

Wielkie to zapewne nieszczęścia, są one jednak wyjątkowe, wypadkowe. Daleko groźniej zapowiada się u nas sprawa rolna, której wybuchy dotąd uio ustają, nie zważając na czas żniw. Najostrzejszą formę przybrały one w majątkach p. Wasyla Tarnowskiego za Dnieprem i u nas koło Smilej w maj. p. Abazy.

Obecnie już od kilku tygodni uspakajają tam lud oddziały wojenne. Czy tylko na długo? Znam wioskę pod Korsuniem, gdzie lada dzień wyniknie coś podobnego. Wedle prawa, w majątkach nieodseparowanych zarówno włościanie, tak też i dziedzic obowiązani prowadzić trzechpolowe gospodarstwo, przyczem włościanie mają prawo użytkować z ugoru dziedzica jako paśnika. Dawni właściciele wypełniali ten obowiązek i był święty spokój. Nowy nabywca oddał majątek w dzierżawę księciu Łopuchinowi, dla którego trzechpolowe gospodarstwo przyniosłoby tylko stratę; wprowadził więc system gospodarstwa racyonalnego, przy którym ugór znika, włościanie zaś literalnie nie mają paśników dla swego bydła. Starcie jest tak ważnem, że żadna ze stron dobrowolnie nie ustąpi. Obecnie włościanie grożą, że nie pozwolą orać ugoru. Na zapewnienia, że gwałt może im tylko zaszkodzić i na radę udania się do sądu odpowiadają bardzo stanowczo, że sąd jest tylko dla panów, że wreszcie nim się on skończy, bydło z głodu zginąć musi. Spokojna dotąd wioska może wkrótce stać się polem walki. Takie „nieporozumienia" wydarzają się corocznie w najrozmaitszych punktach, żadna jednak wieś dotąd oprócz bata innego środka na chorobę agrarną nie kosztowała. Z każdym rokiem warunki są cięższe, stosunki się obostrzają, lecz to nieza-

chwiało dotąd wiary w wszechmocność nahajki. Czy nie zadługie to oszukiwanie samych siebie? Zagadnięty przeze mnie jeden z urzędników, mających do czynienia z podobnym wypadkiem, wyraził mi najgłębsze swe przekonanie, że to sprawa jakichś „ciemnych osobistości.“ Nie mógł, czy nie chciał pojąć, że nie osobistość stwarza grunt, ale grunt przygotowany wydaje pewne osobistości. Na dzikiej skale ziarno przecie nie zejdzie.

Takie to prozaiczne wrażenia przywiozłem z wycieczki, cóż dziwnego, że o poezyi zapomniałem. Na domiar złego, powróciwszy do Kijowa, zastałem ogromne zachody około urządzenia odpowiedniego przyjęcia jeszcze prozaiczniejszego gościa — cholery; a zrobiliśmy dotąd wszystko, aby co rychlej ją do łona przycisnąć. Z najludniejszej ulicy—Kreszczatyku—zrobiliśmy kloakę, do której spuszczamy dwa razy na dzień nieczystości z dwóch dzielnic miasta, położonych po obu stronach na górach; wszystkie skwery pozwalaliśmy użyźniać najtańszym sposobem, a placów targowych chyba już niepodobna oczyścić od cuchnącego na łokieć grubości nawozu.

Ces. N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 7 sierpnia.

Międzynarodowa konferencya, zwołana do Londynu w celu uregulowania spraw finansowych Egiptu, została przez przewodniczącego Granville'a odroczona na czas nieograniczony. Od tej chwili kwestya egipska, jeżeli ją tak nazwać można, pozbywa się dotychczasowych osłon dyplomatycznych i staje przed światem w postaci, odpowiadającej istotnemu stanowi rzeczy. Niby to Europa cała miała dopomagać marnotrawnym lennikom sułtana do wygrzebania się z kłopotów pieniężnych i administracyjnych, ale de facto mogła i powinna to była zrobić Anglia i Francya. W sprawach tego rodzaju przyjaźń zamienia się często w rywalizacyę. Francya nie umiała skorzystać z okoliczności w 1882 r., pozwoliła samej Anglii zdobyć Aleksandryę, rozbić Arabiego paszę. John Bull nie należy do ludzi, którzy pozwalają się odsadzać od zdobyczy i dzielić zyskami, na które sam jeden ponosił nakład. Rzecz więc była nietylko naturalna i słuszna, ale i konieczna, że Anglia dla siebie jedynie zagarnęła zrujnowaną krainę afrykańską. Później Francya bardzo pragnęła poprawić swą fałszywą politykę, ale było zapóźno; wszystkie usiłowania Ferry'ego nie potrafiły cofnąć fatalnych skutków błędu Freycineta. Od samego początku konferencyi można się było domyślić, że dumni i pewni siebie wyspiarze, chcą albo uzyskać od Europy i Francyi ratyfikacyę swych planów, albo robić swoje, nie zwracając uwagi na cudze zdanie, lub nawet dąsy. Anglia i Francya stanęły w Londynie jak dwie procesujące się strony. Areopag państw pierwszorzędnych przyznał racyę ostatniej; pierwsza, jak gdyby obawiając się zmiany zdania, pośpieszyła zerwać układy, niezrobiła żadnego ustępstwa i szczyci się przed światem, iż nareszcie ma wolne ręce i pozbyła się krępujących umów z Francyą z 15 i 16 czerwca. Niektóre gazety twierdzą, że Rzeczpospolita odniosła moralne zwycięstwo, gdyż Europa stanęła po jej stronie. Zapewne, że to zwycięstwo, tylko że wszelkie *moralne* wygrane w tego rodzaju sprawach można też nazwać dudkami na kościele. Anglia raz jeszcze stwierdziła słuszność okrzyku Gambetty „niema Europy!“

Obawy, że John Bull nie da sobie rady z wciąż wzrastającą liczbą kłopotów, wynikać tylko mogą z niedokładnej znajomości potęgi Anglii. Może ona drwić sobie z ciosów, pod którymi upadłoby niejedno państwo pierwszorzędne, a wszystkie obecne niebezpieczeństwa nie wymagają dotychczas nawet większego wysiłku.

Z powodu nieprzyjemnego zetknięcia się polityki francuskiej z angielską, na całym świecie mówić zaczęto o potworze, patologicznie niemal równie ciekawym, jak monstra zoologiczne. Pomysłowy *Figaro* puścił wieść o przymierzu francusko-pruskiem. Monarchiczne dzienniki, żądne kryzysów ministeryalnych, twierdziły nawet, że Ferry ma jechać z wizytą do Bismarka. Natarczywość, z jaką rozsiewano podobne wieści, i dobre chęci do zgody, wyrażone przy tej sposobności przez pisma niemieckie, skłoniły poważne dzienniki respublikańskie do zabrania głosu i odparcia insurmacyj. Bismark twierdzi, że w polityce niema przepaści niepodobnych do zapełnienia, ale przepaść, co dzieli Francyę od Niemiec, to nie zatarg dyplomatyczny, to wiecznie krwawiąca rana krzywd zaboru i obrażonych uczuć narodu.

Dziś jeszcze niewiadomo, jak się skończą nieporozumienia Francyi z Chinami, prawdopodobnie jednak do wojny nie dojdzie, a napewno niemal twierdzić można, że wrazie nawet najniepomyślniejszym rzeczpospolitą czekają tylko chwilowe kłopoty. Wszelkie zatargi między cywilizacyą europejską i chińczyzną kończą się dziś zawsze klęską ostatniej.

Oto wsztyskie sprawy międzynarodowe, dające się zapisać w rubryce politycznej za tydzień ubiegły, do tego dodać tylko jeszcze należy nieznaczące pertraktacye Szwajcaryi z Włochami o kwarantannę na granicy tych ostatnich.

Sprawy wewnętrzne niemałej wagi zajmują w tej chwili wiele państw europejskich.

W Anglii dalej toczy się walka liberalnych stronnictw przeciw przywilejom lordów, którzy dolali jeszcze oliwy do dosyć poważnego i tak płomienia, odrzucając projekt rządowy zaprowadzenia głosowania przy wyborach opiekunów nad biednymi w Irlandyi. Czy meetyngi, zwołyane w tej sprawie, doprowadzą do jakiego rezultatu, trudno dziś powiedzieć, prawdopodobnie jednak prędko nic radykalnego nie nastąpi. W Anglii wszystko posuwa się naprzód pracowicie; w przeszłości widziano już bardziej gwałtowne napady, a jednak Izba Panów istnieje do dziś; instytucya ta przytem w historyi swojej ma zbyt wiele poważnych zasług, położonych w trudnych chwilach ojczyzny, aby kwestyę jej bytu ośmielono się rzucać na ostrze noża z jakiegokolwiek powodu.

We Francyi od kilku dni obraduje kongres nad zmianą konstytucyi; o tej sprawie pomówimy gdzieindziej obszerniej.

W Belgii rady miejskie wystąpiły do walki z klerykalną Izbą i ministeryum o zniesienie ustaw szkolnych z 1879 r.

W Niemczech i Austryi wszystkie stronnictwa szykują się do walki wyborczej.

CUDZE GŁOSY.

Węgrzy wobec stronnictw austryackich. Tracący z każdym dniem coraz więcej gruntu pod nogami wiernokonstytucyjni czyli centraliści w Austryi kokietowali przez dłuższy czas węgrów z niezgorszym skutkiem. Liberalny gabinet Tiszy nie tail się z swemi sympatyami dla opozycyi z drugiej strony Litawy i dosyć często zaznaczał je w organach swoich urzędowych i półurzędowych. Czynił to zaś nie tyle z niechęci do reakcyjnego prądu, wiejącego z ministerstwa hr. Taaffego, ile z obawy przed „słowiańską falą,“ która przez jakiś czas szybko rosnąc, nie na żarty grozić mogła podmuleniem filarów *Magyarországhu.* Przekonano się jednak, że obawy te — dziś przynajmniej — są próżne, nastąpił też w usposobieniu prasy węgierskiej zanadto widoczny zwrot, ażeby go milczeniem zbyć było można. Dawniej niemcom — dziś czechom dostają się komplimenta. Oględnie udziela ich nawet *Pester Lloyd,* który przepowiadając lewicy wiedeńskiej Rady państwa zupełne rozbicie, mówi dalej tak:

„Pewne uzasadnienia zdawał się mieć pogląd, że ze stosunków obecnej większości sejmowej w Węgrzech wywiąże się spór, który nakaże powrócić do rządów niemiecko-liberalnych. Ale i ta kombinacya traci grunt. Mniejsza o to, jaka jest najwewnętrzniejsza istota przyjaznego usposobienia czechów dla węgrów. Co do nas, nie bardzo jesteśmy skłonni do tego, ażeby frazes okolicznościowy, za pomocą którego objawia się przy uroczystej sposobności sentymentalne usposobienie uważać jako rękojmię niezłomnej wierności i miłości. Ale w życiu politycznem nie uczucia, lecz fakty wchodzą w rachubę. A faktem jest, że czesi w nowem swem położeniu objawiają prawdziwą roztropność. Dzięki energicznej i liberalnej polityce węgierskiego państwa, mamy w naszym własnym kraju najskuteczniejsze rękojmie przeciw wylewowi „słowiańskiej fali,“ ale byłoby niesprawiedliwem nie uznać, że odśrodkowy ruch narodowości, o ile się u nas objawia, nie jest podżegany przez Austryę i nie bierze pobudki od austryackich słowian.

Faktem jest dalej, że różnice między dzisiejszym rządem austryackim a węgrami nie były ani liczniejsze, ani poważniejsze, ani trudniejsze do załagodzenia od tych, jakie mieliśmy z rządem wiernokonstytucyjnych. A nawet musimy uznać, że dzisiejszy rząd austryacki zupełnie niema tej wstrętnej cechy politycznej, dążenia do rozpościerania się na koszt węgierskiego państwa, jaką miały wszystkie wiernokonstytucyjne ministerstwa bez wyjątku. Dla ważnych wspólnych kwestyj, które już teraz pojawiają się na austro-węgierskim horyzoncie, jest to bardzo pomyślną wróżbą, więc i pod tym względem nie otwierają się centralistom zbyt urocze widoki.“

Na zakończenie taka rada:

„Jeśli upierać się będą (centraliści) przy swem stanowisku, wyrzucą ich wypadki bez litości na piasek, jak fala wyrzuca martwe zwłoki; skoro zaś przestaną opierać się stosunkom, popłyną prosto do celu — do celu, który nigdy zapewne nie będzie jednostronną narodową przewagą, lecz panowaniem idei liberalnej. Tę ideę trzeba ratować z myślą, iż warto dla niej poświęcić stronnicze dogmaty.“

Ostatnią uwagę — warto, aby i polacy z czechami wzięli sobie choć trochę do serca.

Gazeta polska przytacza z *Wileńsk. Wiestnika:*

„Nigdzie się tak nie rozwinęła propaganda polsko-katolicka, jak w Galicyi, gdzie polaków proteguje (?) sam rząd austryacki, a jednak rusini nie ulegli tam ani zlatynizowaniu, ani spolszczeniu... Jakże całkiem inaczej ta sprawa przedstawia się u nas, w kraju północno-zachodnim! Oto upłynęło już pół wieku od czasu nawrócenia tu unitów, a lat 10 od chwili, gdy unici chełmscy zostali *przyjęci* na łono prawosławia... Czasu nie mało, a jednak — prawosławie zrobiło tu nieznaczące postępy. Pomijając już unitów chełmskich, gdzie kwestya wyznaniowa postawiona była niepraktycznie, a wielce nietaktownie rozwiązana — ale tu przecież w północnozachodnich guberniach wiara prawosławna nosi na sobie w wielu razach piętno czegoś obcego, zewnętrznego, cechę formalności tylko; nie została świadomie pojętą przez ludność tutejszą i nie stanowi dla niej pociechy prawdziwej i osłody w życiu... Jednakże myliłby się ten bardzo, ktoby sądził, że włościanie białorusey i litewscy są indyferentni w rzeczach wiary i narodowości: tego w ludzie tutejszym na szczęście nie widzimy; pewnikiem jest jednak, że zagadnienia wiary budzą w pospólstwie naszem raczej interes uczuciowy, instynktowy, niż *wyrozumowany* (autor sam chyba nie „wyrozumiał“ dobrze tego, o czem pisze). Taki stan rzeczy nie daje, rzecz prosta, dostatecznej rękojmi

trwałości i wpływu moralnego wiary; jedna tylko szkoła i kazania cerkiewne są w stanie sprawić to, ażeby tutejsi prawosławni *pro forma*, zmienili się w prawosławnych z przekonania..."

„Listy do przyjaciela" p. Masłowskiego, książka ex-liberała galicyjskiego w obozie konserwatywnym, do którego b. redaktor skrajno-postępowego *Kuryera lwowskiego* tak szybkim zdążał krokiem, naturalnie są oklaskiwano przez ten obóz. Ks. Maryan Morawski tak oto mówi o „Wyznaniach liberała" w *Przeglądzie powszechnym:*

Uznając zasługi autora, pozwalamy sobie powiedzieć jemu i wielu innym, podobnie myślącym, że to dopiero część prawdy, co zdobyli, że to jeszcze nie *zasady*, jak im się zdaje, ale *konkluzya konserwatyzmu*, a katolicyzmu dopiero rąbek. Chcąc zaś zrozumieć same zasady i poznać całe słowo, powinni sięgać po za Darwinem, Lubockiem i Spencerem, po za najnowszą psychologię i socyologię, aż do źródeł tego wielkiego stronnictwa, które — jak mówi sam p. Masłowski — prowadzi swą genealogię od pierwszych wieków chrześciaństwa. Część prawdy, którą dotąd zdobyli, na nic się nie zda, bo niema jeszcze w niej warunków żywotności; ale przyda ona się bardzo, jeśli będzie pierwszym krokiem do dalszego pochodu, szczeblem do wzniesienia się wyżej. A więc — w tem treść mej rzeczy i tem życzeniem kończę — *amice, ascende superius...*"

Szczęść Boże, na drogę, i — jazda! My tymczasem posłuchajmy, co prawi druga wyrocznia krakowska.

„Dawno już — pisze p. S. T. w *Przeglądzie polskim* — nie spotkaliśmy się w naszej literaturze politycznej z równie wytrawnym i treściwym utworem. „Listy do przyjaciela" są rodzajem autobiografii, w której autor opowiada dzieje i przemiany swego myślenia. Ale nie w tem jest ich wartość jedyna, bo i cóż w tem dziwnego, że umysł wyższy, szczerze szukający prawdy, do niej nareszcie dochodzi? „Listy do przyjaciela" są czemś więcej, niż zwykłym powrotem do zasad konserwatywnych i religijnych, są gruntowną krytyką liberaltzmu."

To też i powód, że *Przegląd polski* wita książkę p. Masłowskiego, jako „pożądany a niespodziewany symptomat wzrastającej w kraju dojrzałości" i pragnie gorąco, „żeby słowa p. M. nie odpadły od naszych głów, jak groch od ściany; żeby więcej odniosły skutku, niż nasze niegdyś. Pozostaje nam jeszcze *Czas*." W piśmie tem p. L. D. tak ocenia „drogę do Damaszku."

„Zmienność w dziennikarstwie bywa rzeczą powszednią. Patrzymy codziennie, jak dziennikarze pewnej szkoły dziś to czernią, co wczoraj wynosili i na odwrót. Nazwaćby ich można przezwiskiem Maćka z Dobrzyna „Kurek na kościele," bo lada powiew wiatru, a w inną zwracają się stronę. Kiedy zmieniają kierunek, to nie jest rzecz zasad i przekonań, lecz — jak ktoś złośliwie powiedział — czułego węchu i dobrego nosa."

Czas wierzy, że p. M. nie nosem się kierował, kierując swoje kroki ku obozowi, dzierżącemu obecnie władzę w kraju. Wszystko zresztą w „Listach" dobre, mimo to niedowierza *Czas* neoficie:

„Oscylacyami dobija się każde pokolenie prawdy — więc reakcya przeciw bałwochwalstwu wolności i dogmatyzmowi liberalizmu popycha znów niekiedy *za daleko* — zwłaszcza, gdy strona krytyczna i polemiczna przeważa nad stroną afirmacyi. To też czytając książkę p. M. niew jednem miejscu nasuwa się słowo zastrzeżenia lub słowo wątpliwości. W całej części krytycznej zgodni, mielibyśmy te wątpliwości, czy autor, wyleczony radykalnie z gorączki liberalnej w równym stopniu otrząsł się z tego, co weń wsiąkło z atmosfery pozytywizmu?..."

A więc znowu: *amice, ascende superius!* Czy p. Masłowski pójdzie za tą radą i w jaki sposób „otrzęsie się z tego, co weń wsiąkło" w dawniejszych czasach, wróżyć dziś niepodobna, ale... wolna droga! W naszym obozie dla — nie podsuwamy innych pobudek odstępstwa — niezdecydowanych miejsca niema, w przeciwnym czekają z otwartemi rękami. Tylko się trzeba „otrząsnąć" należycie!..

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komitet centralny zebrał na powodzian od 3 do 28 lipca 25,682 rs. $53^1/_2$ kop.

Pożary stały się u nas „kwestyą." Rok rocznie liczba ich wrasta, a tylko gdzie niegdzie istnieją środki obrony. Wieś Zabiele (gub. łomż. pow. kolnieński)—według *Echa łomżyńskiego* — została już po raz trzeci w r. b. nawiedzona pożarem. 2 maja spłonęło 37 domów i 126 zabudowań, 5 maja 34 zabudowania gospodarskie, nareszcie 24 lipca pożar pochłonął 13 domów i 44 zabudowania.

— W Olkuszu powstała straż ogniowa. Jednocześnie w Tykocinie mieszkańcy starali się o pozwolenie urządzenia podobnej instytucyi, ale otrzymali odmowną odpowiedź.

28 włók folwarku Uremby — jak donosi *Kuryer warszawski* — zostało nabyte przez 35 włościan okolicznych.

Gazeta polska podaje ze źródeł urzędowych: w roku ubiegłym Warszawa liczyła 229 zakładów naukowych wszelkiego rodzaju. Do szkół tych uczęszczało 18,363 uczniów i 8,741 uczennic, ogółem 27,104.

Akademia krakowska. Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego, d. 21 lipca, zdał sprawę dr. Kuczyński z pracy Abakanowicza „O nowym sposobie budowy zwojów do machin dynamo-elektrycznych." Dr. Alth skreślił swój „Opis geognostyczny Szczawnicy i Pienin," tudzież prof. Kreutza „Skały trachitowe w pasie pienińskim wapieni rafowych," a dr. Rostafiński podał treść swojej pracy p. t. „Stosunek rozwoju cholery w r. 1873 w Krakowie do współczesnych zjawisk atmosferycznych. Rzecz statystyczna podjęła w sprawie sporu między Pasteurem a Kochem." Dr. Olszewski zawiadomił wreszcie, streszczając swą pracę o „O temperaturze krytycznej powietrza, o ciśnieniu krytycznem tegoż i od zależności temperatury wrzenia ciekłego powietrza od ciśnienia." Wszystkie te prace, razem ze studyum dr. Zalewskiego „O tworzeniu się zarodników w komórkach drożdży," odesłano do komitetu redakcyjnego.

Tom VIII *Sprawozdań* komisyi fizyograficznej wyjdzie w połowie sierpnia.

Bibliografia polska. Jan Bloch *Finanse Rosyi w XIX w.* Warszawa, 1884. Wspaniałe i bogate swym materyałem statystycznym dzieło zajmie nas później szczegółowo.

— F. Schiller *Dzieła* w przekładzie polskim, Lwów, Altenberg, zeszyty XV, XVI, XVII, XVIII.

— F. Świderski *Pisma humorystyczne*, zeszyt II, Częstochowa.

Russkij Kurjer donosi o zamiarze, powstałym w wyższych sferach, zakładania bezpłatnych czytelni dla ludu.

Sędziowie pokoju m. Warszawy, Bardowskij i Dobrowolskij, jak równie sędzia śledczy Sułowski zostali uwolnieni od obowiązków.

Dochody państwa od 13 stycznia do 13 maja wynosiły 203,311,266; w porównaniu z rokiem zeszłym podniosły się o 9,164,025. Wydatki doszły do sumy 206,389,075, czyli przewyższały dochód o 3,632,784.

Policya berlińska w ostatnich czasach zaczęła ściśle stosować surowe przepisy, wydane w r. 1880 dla rosyjskich poddanych, przebywających w stolicy Niemiec. Wielu osobom, posiadającym nawet zupełnie legalne paszporty, kazano wyjechać w mniej lub bardziej odległym terminie. Liczba wydaleń dosięga podobno 1,800.

We Francyi w r. 1877 istniało 71,547 szkół początkowych. W r. 1882 liczba ich wzrosła do 75,635. Liczba uczących w tych szkołach z 4,715,935 doszła w tym peryodzie do 5,341,221. Prócz tego 644,384 dzieci uczęszcza do tak zwanych szkół macierzyńskich. W r. 1883 uczących się było znów o 90,910 więcej.

Bójki stały się nieodłączną ozdobą zgromadzeń socyalistycznych na zachodzie. Od jakiegoś czasu ani jedno zebranie nieodbyło się bez krwawego lub przynajmniej sińcowego finału. Anarchiści w Paryżu odgryzają palce, nosy i wybijają zęby possybilistom, possybiliści tłuką na *ugodowych* zebraniach marxistów i blankistów, blankiści zlewają krwią anarchistów bruk genewski. Publiczność rozpędza często wszystkie partye razem. W ostatnich czasach w Kreuzligen w Szwajcaryi kilku socyal-demokratów (zdaje się niemieckich) oświadamiało robotników o ideałach swych dążeń. Referent Tauscher przemawiał za 8-godzinną pracą. Wywody jego zbijał miejscowy notaryusz Zehnder i przy grzmocie oklasków oświadczył, że szwajcarscy robotnicy wstydziliby się pracować *tylko* 8 godzin. Socyalistyczny mówca nazwał Zehndera agentem policyjnym, za co został przez słuchaczy wyrzucony za drzwi.

Goście z Czech. Tysiąc dwustu czechów, głównie członków towarzystw gimnastycznnych, t. z. *sokołów*, przybędzie d. 16 sierpnia do Galicyi dla zwiedzenia Krakowa i Wieliczki. Krakowianie czynią wielkie przygotowania na ich przyjęcie.

Żydzi w Tarnowie. Młodzież handlowa wyzn. mojż. w Tarnowie związała się w towarzystwo, mające na celu szerzenie oświaty w duchu polskim. Otwarto już czytelnię.

Zmarli: Henryk Laube, znany powieściopisarz, dramaturg, dziennikarz, a także dyrektor Burgtheatru w Wiedniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Jednemu z młodych lekarzy. Uwagi nasze źle Pan zrozumiał, a na dowód pomieścimy list pański w przyszłym numerze tem bardziej, że on zawiera kilka słusznych i z życia poczerpniętych uwag.

P. Dr. C. w Mohilewie. Za posyłkę *Na pomoc* należy nam się kop. 53.

Bo. w Pabianicach. Odebraliśmy tylko rs. 2, nie było w liście kop. 50.

OFIARY.

Dla powodzian. Łoboczewski z Radomyśla rs. 1, na galicyan rs. 1, B. A. z prowincyi rs. 20, Marya Wrzeszcz rs. 3, Helena Siemienkiewicz rs. 3. Jako fant w grze kwiatowej z Takszyszek rs. 2, W. Antosiewicz ze Słobódki kadyjewskiej rs. 1, Erazm K. z Żytomierza rs. 1, Przegrane z zakładu na Stepie rs 2, Inżenier Rudnicki z Wydronuzka rs. 7, Dr. Sawicki z Grajewa rs. 5.

Dla biednej. Bezimiennie rs. 1, B. A. z prowincyi rs. 5. Bezimiennie ze Stepu rs. 3, E. Głębocki z fermy Ż. rs. 5, Bezimiennie z prowincyi rs. 3.

Na kolonie letnie. W. Antosiewicz ze Słobódki kadyjewskiej kop. 50.

Na pomnik Mickiewicza. Łobaczewski z Radomyśla rs. 1.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Іюля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.